JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

CHORE DUSZE

Józef Kraszewski
Chore dusze

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843474
Chore dusze:

Аннотация

Wraz z Kraszewskim przenosimy się do Rzymu, do domu Sobieskiego dziś nazywanego Casa Bartholdi. Przygodę z lekturą rozpoczynamy od spotkania w domy pani Lizy i jej brata Ferdynanda, którzy właśnie przyjmują gości: księżną Teresę, hrabiego Augusta i hrabiego Filipa.Niespodziewanie w progu pojawia się kolejny gość – Wiktor Gorajski. Tajemniczy mężczyzna od teraz częściej będzie się pojawiał w życiu osób spotkanych w domu Sobieskiego. Co z tego wyniknie?Znakomita powieść obyczajowa pisarza, który za swoje dokonania trafił do księgi rekordów Guinnessa jako autor największej liczby napisanych powieści.

Содержание

Том I 4
Конец ознакомительного фрагмента. 92

Józef Ignacy Kraszewski
Chore dusze

Tom I

Wieczór był jesienny, ostatnich dni sierpnia w Rzymie, z którego w tym miesiącu ucieka kto może, do którego w téj porze nie przebywa nikt, oprócz tych co ich konieczność jakaś zagna do wiekuistéj stolicy.

Na drugiém piętrze domu na Via Sistina okna stały otworem; gorąco, pomimo nadchodzącéj nocy, było jeszcze nieznośne. Wdali na niebiosach jasnych malowała się ciemno majestatyczna kopuła bazyliki Ś. Piotra i w gmachach Watykanu widać było zapalające się światełka.

Cisza smętna, grobowa leżała nad olbrzymią, w ruinach tysiącoletnich stolicą, ledwie niekiedy szmerem jakimś powietrznym lub dźwiękiem wieczornych dzwonków klasztornych przerywana.

Smutek wiekuisty ludzi tęskniących duszami ku czemuś nieokréślonemu, upragnionemu i niedościgniionemu, ciężył nad temi wspaniałemi gruzami, ponad któremi nowe gmachy i wskrzeszone życie chórem z ruinami mówiło: Człowiecze, nic niéma wiecznego na ziemi!

Lecz ponad ziemią przyciśniętą dusznemi opary jaśniały

wiekuiste niebiosa wypogodzone, na których gdzieniegdzie migotały już z ciemności główki gwiazdek promieniste.

Na ziemi smutno było jak w grobie, na niebiosach pogodnie, jasno, spokojnie…

Tu w tém mrowisku, na rumowiskach poruszało się życie zbolałe; tam błyszczały śmiejące się wiekuiste światełka, wśród majestatycznie rozpostartych przestrzeni eteru.

I chciało się w téj chwili patrzéć wgórę, aby nie widziéć co się dzieje pod stopami. Tu życie miało fizyognomią śmierci, tam śmierć gasnących aerolitów jaśniała życiem.

Są wszędy smutne wieczory takie, nawet tam, gdzie je myśl i ręka płocha chce wesołemi uczynić; lecz nigdzie smutek ludzki, nieokréślony ów, przyniesiony z życiem, nie ściska tak duszy, jak na tém pobojowisku wieków, które się Rzymem zowie.

Jest-to wyschłe serce świata, który żyć przestał, a na którego mogile wyrosło zdrobniałe życie nowe, napół z piersi trupiéj wyssane.

Potężne te ruiny, skorupa potworu, którego ramiona obejmowały cały naówczas znany świat, do dziś dnia mówią o olbrzymie, zjedzonym przez drobne mrowie barbarzyństwa.

Termity z północy, pełznące po ziemi, podgryzły i podkopały tę przerosłą potęgę i w proch ją obróciły. Gotowały podściół pod nowy posiéw Boży, dla mającego z ruin i mrowia urosnąć świata.

Pomiędzy tém, co się tu w grób położyło, a tém, co się zrodziło na grobie, legła przepaść wieków, półmroku i cienia.

Na małym balkonie domu niegdyś Sobieskiego, dziś zowiącego się Casa Bartholdi, stało osób kilka zadumanych, wpatrzonych w krajobraz wieczora, milczących, nieśmiących wydać głosu, aby nie sprofanować téj ciszy uroczystéj, modlitewnéj całego stworzenia. Wolno tylko było dzwonom wśród niéj jęczéć tęsknicą klasztorną, modlitwą pokorną i wiatrowi od gór i stepów szemrzéć ziemi „dobranoc."

Nikt nie nakazywał tego milczenia, a wszyscy nakaz zgóry płynący czuli w duszach zarówno i byli mu posłuszni. W jednéj chwili zerwały się różnobarwne nici ponawiązywanych myśli, usta zadrgały, odrętwiały i musiały zaniemiéć.

W taką ciszę, mówi lud nasz, że anioł przeleciał, anioł niewidzialny, niosący myśl nieziemską i odrywający dusze, aby nie przyrosły do gnojnéj powłoki cmentarza.

Anioł przeleciał i skrzydły białemi dotknął wszystkich głów, w których było mętno, wszystkich serc, w których było ponuro i ciemno, rzucając z rosą wieczora, jak perłę, słowo pociechy i miłosierdzia, pocałunek nieba dany ziemi:

– *Pax! Pax!*

I stała się chwila pokoju tam, gdzie go nigdy nie bywa, bo życie jest bojem i wrzawą, a była chwila ta krótką, jak oka mgnienie.

Wstrzymały się głosy i oddechy w tym spokoju błogim; lecz natychmiast życie się praw swych upomniało, oczy z niebios zwróciły się ku ludziom i mrokom, zastygłe głosy z ust się napiérać zaczęły.

Sparty o poręcz małego balkonu, stał z siwemi włosy okrytą,

podniesioną głową mężczyzna, którego twarz odblask łuny wieczornéj łagodném swiatłem obléwał.

Wiek jego trudno było odgadnąć; włos mu się srébrzył na skroni, a oblicze zdało się, o téj zwłaszcza wieczornéj godzinie, młode jeszcze i życia pełne. Ciemne oczy, przysłonięte powiekami nawpół zapuszczonemi, patrzyły w świat, lejąc z siebie strumienie światła, w głębi jeszcze gorejącego. Czoło miał wypogodzone, jak owo niebo wieczorne, na policzkach bladych nie widniały zmarszczki, tylko około kształtnych ust, zaciśniętych nieco, zarysowywały się drogi, któremi uśmiéch dobroci lub łagodnego szyderstwa przechodząc, wydeptał je powoli.

Patrząc w tę twarz, ktoś nieznajomy, pociągnięty jéj wyrazem, musiałby był sobie zadać pytanie, co ona mówiła, co znaczyła, z czego wzrosła i w co jeszcze mogła się obrócić? Mimo siwych włosów, twarz to bowiem była nieskończona, niezastygła. Nie był to gips stężały, ale glina, którą dotknięcie wielkiego mistrza, losu, mogło uczynić arcydziełem, albo obrócić w nieforemną bryłę ziemi.

Człowiek ten nęcił czémś niełatwém do wyczytania.

Po za nim można się było domyślać całego szeregu postaci wielkich, których on krwi i myśli był spadkobiercą. Wpatrując się w niego, odgadywałeś krew bohatérów miecza i bohatérów ducha, po których on wziął organizm już zwątlony, ale wyszlachetniony. Można go było jeszcze odziać w żelazną zbroję starą i serce by mu do niéj i w niéj uderzyło praojcowskiemi

wspomnieniami; ale długoby dźwigać jéj nie podołał. Hełm nazbytby mu cisnął to czoło, pod którém teraz odegrywał się cały dramat jego życia.

Gdyby nie ten siwy włos, co mu bujnie spadał na ramiona, z postawy wyniosłéj, niezłamanéj życiem, z silnéj i zręcznéj budowy ciała, hrabiego Augusta wziąćby było można za młodzieńca, chociaż ani strojem, ani wymuszonemi ruchy nie starał się lat ująć sobie, a swą siwizną zdawał się chlubić.

Wyraz oblicza tego, przysłonionego tajemnicą, zagadkowego, był smutny, ale spokojny i łagodny, jakby kogoś co z wielkiego boju powrócił ranny i bliznom się dał zasklepić, choć o nich nie zapomniał.

W drugim rogu małego balkonu, gdyby artysta chciał był umyślnie kontrast postawić, nie mógłby szczęśliwiéj dobrać przekornéj postaci. Pochylony, dziwnie jakoś zwinięty i skręcony, stał człowieczek niestary jeszcze, z krótko postrzyżoną, rzadkim blond włosem okrytą głową. Wzrostu był znacznie mniejszego od swojego towarzysza, krzepki także, lecz nawet gdy chciał być spokojnym, wszystko w nim drgać się zdawało niecierpliwie. Te niesforne ruchy zdradzały naturę, w któréj równowagi nie było jeszcze, lub nigdy już ona przyjść nie miała.

Ogolona twarz, ni młoda ni stara, nie miała oklepanego typu Mefistofila, choć może nadaćby go sobie pragnęła; wyraz jéj był ziemsko-szatański, jednego ze służek pana ciemności. Rysów wybitnych nie miała; nos, oczy, czoło były jak u wszystkich tych

ludu, na których spojrzawszy raz, już się więcéj nie ma patrzyć ochoty i po chwili o nich się zapomina.

Masce téj jednak pospolitéj wewnętrzny ogień nadawał wyrazy niespodziane, tak coraz nieskończenie odmienne, że w jednéj chwili stawała się na przemiany miłą i wstrętliwą. Charakter jéj stanowiła ta ruchawość niezmierna, niezmordowana, te błyskawiczne przemiany, które się dokonywały na rozkaz niespokojnego ducha – może nato, aby stan jego przysłoniły i zakryły.

Twarz piérwszego z nich swą powagą ufność budziła, drugiego niepokój i obawę.

Wczasie tego milczenia – przelotu anioła – siwowłosy stał jakby się modlił, mały jakby chciał szydzić, a czuł się jakąś potęgą silniejszą niż on skrępowany.

Cała jego postać wyrażała walkę z tą potęgą któréj oprzéć się nie mógł, a przeciw któréj bezsilnie się buntował. Ciekaw tego co jego towarzysz doznawał, wpatrywał się weń bacznie, uroczystym spokojem jego upokorzony.

Siwowłosy patrzył wpół zmrużonemi oczyma na niebo i kopułę św. Piotra; towarzysz spuścił wzrok w małą uliczkę pustą, nad którą balkonik jak gniazdo jaskółcze był zawieszony.

W ogródku, którego bujna roślinność z za murów odrapanych rwała się dogóry ku powietrzu i słońcu, woniały rozkwitłe krzaki jaśminu i gardenii. Schylony ku ziemi, upajał się ich zapachem.

Ale tuż zblizka zalatywała z ulicznéj, niewidzialnéj kuchenki frittura i strutto wieczerzy i mieszając się z témi wydechy

niebieskiemi kwiatów przypominały, że na ziemi raju niéma.

Siwowłosy, który się nie schylał tak nizko, czuł może tylko gardenii wonie; drugiego dusiła frittura.

Nie byli sami na balkonie.

We drzwiach, z saloniku na balkon wiodących, stała kobiéta w prostéj, białéj sukience, cień niby jakiéjś kreacyi Ary-Schefera, którą przypominała wdziękiem naiwnym i układem archaicznym draperyi, jakby ze starego zapożyczonym posągu.

I ją przelatujący anioł milczenia potrącił skrzydły białemi. Stała w niebo wpatrzona, ze słowem na ustach zamarłém, a pięknie jéj z tém było, jakby zrodziła się do żywota wiecznego w posągu i była widmem uroczém, co mówi bez słowa, co żyje bez krwi i łez.

Nie można było odgadnąć jak wyglądała we dnie, ale wśród tego mroku, słabém blasku wieczornego odbiciem oblana łagodnie, idealną się wydawała. Można się było obawiać, aby z zorzą wieczora nie rozpłynęła się w powietrzu.

Twarz jéj prześliczną bujne, czarności kruczéj otaczały włosy, dosyć niedbale zawiązane, nie bez mimowolnego może naśladowania posągowych warkoczy niewiast greckich. Piękności jéj, jaką była w téj chwili, ani opisać, ani odmalować niepodobna. Twarz miała cesarzowéj rzymskiéj, bogini Hellenów, Psychy, gdy ją Amor odleciał. Czarne oczy nie patrzyły wesoło i usta były smutne, choć młodość jeszcze ją opromieniała, choć stała we wrotach życia.

Ale już niepokalaną świéżość policzków łzy zetrzéć musiały,

oczy spłakane zapadły głębiéj, z warg odleciał uśmiéch dziécięcy, a siadły na nich ironia i zwątpienie. Wsparta o ramy drzwi otwartych, z rękami na piersiach założonemi, nieruchomą była jak posąg; oczy jéj tylko to podnosiły się ku łunie wieczora, to spadały pod nogi.

Tuż obok niéj, we drzwiach o drugą ich stronę oparty, stał młody, w kwiecie wieku, życia i zdrowia mężczyzna, którego piękne rysy, pokrewne twarzy kobiéty, kazały się w nim domyślać brata. Podobieństwo obojga było zarazem dowodem, iż jedne rysy i piękność jedna idealną lub pospolitą być może, gdy dusza je opromieni lub osiéroci.

Młodzieniec stał milczący, ale milczenie jego nie pochodziło z dusznéj potrzeby, było raczéj grzecznością i ustępstwem dla towarzystwa, wśród którego się znajdował. Oczy jego przelatywały ciekawie to na siwowłosego mężczyznę, to na drgającego jego towarzysza, wreszcie ukradkiem padały na zamyśloną siostrę. W nim grała jeszcze młodość krwi, nie ducha, chciwa pochwycenia wszystkich życia tajemnic i wszystkich rozkoszy, a wszelkim spokojem niecierpliwiąca się, jak skarbem zmarnowanym.

Z téj czwórki on jeden jeszcze był nieprzesycony, niezniechęcony; pragnął i rwał się na bojowisko życia. Ręce jego niecierpliwie rwały łańcuszek od zégarka, chwytały suknie, szukały jakby oręża do walki.

Milczenie, choć krótkie, ale tak zgodne i znaczące, było dlań niepojętém. Anioł ciszy i pokoju skrzydłem go ominął.

Nareszcie!

Z głębi téj ciszy wyrwało się westchnienie, szept prawie niedosłyszany, który wyszedł z ust siwowłosego:

– Roma!

W jednym tym wyrazie zamknął on wszystko.

– Roma! – echem powtórzyła za nim, długiém wejrzeniem ciekawém mierząc go kobiéta. – Roma! a ja, istota maluczka, słaba, w téj chwili, gdym jak wy, panie hrabio, powinna była zatopić się cała w tęsknocie rzymskiéj – ja poleciałam myślą – wiécie dokąd?… tam, tam, gdzie szumią puszcze nawpół wypalone, gdzie wiatr szérokie piaszczyste pola przelata, gdzie brzęczą komarów roje i chóry żab naszych śpiéwają, gdzie czuć dym chłopskich chatek, a od łąk wilgotne płyną wonie wierzb i łotoci… Popełniłam może świętokradztwo, wielką tęsknotę Rzymu, żeniąc i krewniąc z tą, która tam wiekuiście leży życiem nierozpoczętém, tak jak tu życiem przerwaném.

Siwowłosy słuchał i ostatnim słowom pięknéj pani, których dźwięk brzmiał jakby muzyką, dał się rozwiać i rozpłynąć, nim sam przemówić się ośmielił.

– Wszystkie ziemskie tęsknoty są krewne – rzekł. – Ale czy w Rzymie, czy w puszczach poleskich, niezdrowo karmić się niemi. Są to mogilne kwiaty; prawdziwe życie ubiérać się w nie niepowinno. Tęsknota pęta i osłabia.

– Jakże się jéj oprzéć? – zapytała kobiéta.

– Nie wiem, ale opiérać się trzeba. Tęsknoty są-to śmierci zwiastuny. Starym ludziom strzedz się trzeba drzémania we dnie,

młodym tęsknot i smutków.

Mały, ruchawy człeczek, oparty o drugą stronę balkonu, podniósł się, usłyszawszy głosy, odwrócił, rękami wtył odwróconemi sparł na poręczy i ciekawie nadstawiał ucha. Oko jego badało siwowłosego towarzysza. Spokój z jakim mówił drażnił go i burzył.

Młodzieniec przy siostrze stojący rozpoczęcie rozmowy powitał jak wybawienie. Twarz mu się rozjaśniła; zdawał się mówić:

– A! przecież!

– W Rzymie przynajmniéj tęsknoty nikomu za grzéch poczytać się nie godzi – odezwała się kobiéta. – Dla mnie tu najmniéj jest zrozumiałym karnawał, szał, wesele, pusty śmiéch na tym grobowcu, który uszanować trzeba.

– Ale ten grobowiec stał się kolébką – rzekł siwy spokojnie.

– A! – przerwał mały z uśmiéchem – kolébka z kawałków trumny, rzecz wcale niewesoła!

– Trzeba się z tém jednak pogodzić – odpowiedział towarzysz na balkonie stojący – bo wszystko na świecie co jest życiem, wyrasta ze śmierci.

Kobiéta westchnęła cicho; wszyscy zamilkli znowu.

– Ja ledwie się śmiem odezwać – zadźwięczał młody, wesoły głos stojącego we drzwiach, na[1]scy z Rzymu uciekają, gdy mówią

---

[1] *na (…) scy z Rzymu uciekają* – w wydaniu źródłowym brak dwóch stron tekstu pomiędzy fragmentami „stojącego we drzwiach, na” a „scy z Rzymu uciekają”. [przypis edytorski]

że powietrze jest tu najniezdrowsze, gdy taka wokoło pustka?

Kobiéta, któréj twarz przy lampie niemniéj była piękną, ale smutniejszą i jakby przed czasem zwiędniałą i zmęczoną, popatrzyła długo na mówiącego, tak długo, iż miał czas, ubodnięty tém wejrzeniem chłodném, zmieszać się i rozważyć, że pytanie zrobił niedyskretne.

– Właśnie dlatego, że Rzym jest teraz tak pusty, że wszyscy z niego uciekają, że można się w nim obracać swobodniéj, ja zostałam tu, aby go oglądać. Ludzi w nim nie szukałam.

– A pomimo tych ostróżności, znaleźli się natręci, niedający się odegnać – przerwał z rodzajem szyderstwa mały, który się zwał hrabią Filipem.

– Wyciągasz mnie pan na kompliment – rozśmiała się gospodyni. – Ja się boję obcych tylko, a my, panie hrabio, jesteśmy sobie przecie dawno i dobrze znajomi.

W ostatnim frazesie musiało być cóś dotkliwego, bo hrabia drgnął, ale się skłonił, dziękując. Twarz jego, gdy ją podniósł, cała była zarumieniona, oczy biegały niespokojne.

– Dla mnie to prawdziwe szczęście – kończyła pani Liza, zbliżając się ku stolikowi, na którym zastawiono herbatę – prawdziwe szczęście, żem panów tu znalazła. Ja, choć lubię samotność, jednak nie osamotnienie. Pomiędzy zgiełkiem i tłumem, a kółkiem dobrych znajomych i przyjaciół, wielka jest różnica.

Gdy tak rozmawiano, Ferdynand zręcznie bardzo pomagał siostrze w gospodarstwie przy herbacie, co zdawało się

potrzebném, gdyż piękna pani, jakby roztargniona, dość niewprawnemi rączkami około filiżanek się krzątała, co bolesne ich dźwięki zdradzały. Myślą była zapewne gdzieindziéj.

Od stolika, przy którym stała, spoglądała niekiedy ukradkiem ku siwowłosemu, siedzącemu z twarzą wypogodzoną i napawającemu się widokiem téj pięknéj postaci, któréj każdy ruch tak był wdzięcznym, jakby był obrachowanym, choć o to nikt jéj nie mógł posądzić. Oczy hrabiego Filipa biegały także za panią Lizą, ale z innym zupełnie wyrazem. Cóś w nich był tego Satyra mytologicznego, który bez złéj myśli na kobiétę spojrzéć nie może.

Wejrzeń téż jego natarczywych starała się unikać piękna gospodyni, czując że bez wstrętu spotkaćby się z niemi nie mogła. Paliły ją, jak wyuzdana mowa uliczników.

Wtém stłumiony głos jakiś dał się słyszéć z przedpokoju; gospodyni wstrzymała się z naléwaniem herbaty, szepnęła cóś bratu, który ku drzwiom pośpieszył, ale nie miał czasu ich otworzyć, gdy ukazała się wchodząca kobiéta. Była to pani jeszcze piękna bardzo, niegdyś zapewne zachwycająca, lat średnich, postawy majestatycznéj, słuszna, kształtów których wiek nie zniszczył, twarzy może zanadto pełnéj, ale kwitnącéj, któréj żywe, błyszczące oczy dodawały wdzięku. Czarny jéj strój skromny był, lecz bardzo wytworny, mimo pozornego zaniedbania.

– Przysięgam – poczęła od progu głosem wesołym i sympatycznym, oczyma obliczając obecnych – że droga Liza

już się mnie dziś nie spodziéwała i dla mnie niéma filiżanki. Ja zaś tak byłam jakoś stęsknioną moją samotnością, a tak pewną że tu wszystkich zastanę, iż wstrzymać się nie mogłam.

Wszyscy witali księżnę, jak dobrzy, poufali znajomi.

Są ludzie, co noszą z sobą jakąś woń właściwą, co pachną piżmem, perfumami, fiołkiem lub różą, albo ich czuć pleśnią lub stęchlizną; ale są także i tacy, co w fałdach sukni niosą wesele lub smutek.

Księżna Teresa, wchodząca do salonu, miała tę właściwość, że choćby nawet była trochę smutna, przynosiła z sobą życie i wesele. Czy je miała sama dla siebie, czy posłannictwem jéj było tylko drugich niemi obdzielać, to dla wszystkich pozostawało tajemnicą. Mówiono iż w samotności często bywała posępną, chmurną, jakby znudzoną; ale dla ludzi uśmiéch miała zawsze i czoło pogodne.

Piękna jéj twarz jaśniała wyrazem dobroci rozumu. Złośliwi utrzymywali, że i ten rozum niezaprzeczony więcéj dla drugich służył, niż dla niéj saméj, chociaż nic jéj nierozważnego do zarzucenia nie miano. Rozbrajała najniechętniejszych łagodnością i dobrocią niewyczerpaną.

– Proszę państwa – odezwała się, siadając i wachlarzem starając się ochłodzić po zmęczeniu schodami – co mi za szczególna przyszła uwaga, obliczając to nasze gronko wieczorne. Jakeśmy się to dziwnie zeszli i dobrali! Dwie wdowy i trzéj kawalerowie.

– Przepraszam – przerwał hrabia Filip – ja nie mam prawa

liczyć się do kawalerów. Jestem wprawdzie dziś wolnym, lecz miałem to nieszczęście być trochę żonatym. Smutno mi tę omyłkę moję przypominać, ale prawda przedewszystkiém.

– Jesteś pan rozwiedziony – odezwała się księżna z uśmiéchem, w którym politowanie mieszało się z trochą szyderstwa, – a ponieważ rozwód u nas nie daje się inaczéj, tylko gdy małżeństwo za nieważne jest uznane, więc wychodzi na to, jakbyś hrabia był kawalerem.

– Prawnie… może – odparł kwaśno hrabia Filip. – Księżna masz słuszność; faktycznie jednak.... smutny zawód nie daje się wymazać z regestru życia.

– No! no! nie mówmy o starych grzéchach, bo któż ich nie ma – zamknęła mu usta księżna. – Dla nas jesteś pan starym kawalerem i po wszystkiém.

Młody brat gospodyni, pan Ferdynand, podawał herbatę i wszyscy się około okrągłego stolika mieścić zaczynali. Bystry wzrok przybyłéj pani, przelatując zkolei po otaczających, najczęściéj zatrzymywał się na siwowłosym, jak gdyby z niego chciała cóś wyczytać i odgadnąć.

Hrabia August oczy trzymał spuszczone, czoło miał wypogodzone i czytać w sobie nie dawał. Można się tylko było domyślać z ruchów, z wielkiéj pilności jaką miał około siebie, że obawiał się, aby w nim czytać nie chciano, odgadując iż ktoś być może ciekawy. Czy miał co do utajenia? o to zdawała się go mocno posądzać księżna, bo przyglądała mu się pilnie, a nie zdobywszy nic, wkońcu wprost go zagadnęła, aby zmusić do

podniesienia oczu i przerwania milczenia.

– Hrabio Auguście, jakże idą studya rzymskie?

– Niech księżna nie pyta – odparł głosem powolnym i cichym, nie podnosząc oczów z talerzyka. – To nie studya, przepraszam, ale studnia do wypicia.

– A my do zgłębienia jéj przeszkadzamy – wtrąciła gospodyni – my, to jest ja.

Księżna się uśmiéchnęła nieznacznie.

– Całkiem przeciwnie – zawołał żywo hrabia August – pani do nich mi dopomaga skutecznie. Każde jéj zapytanie uczy mnie mojéj niewiadomości, odkrywa drogi nowe. Pani masz dar wskazywania tych stron, tych wątpliwości, na które tylko umysł tak obdarzony szczęśliwie, tak przenikliwy jak jéj wpaść może…

– A! nie przewidziałam wcale, że wywołam tak niezasłużony kompliment – rozśmiała się gospodyni z wesołością trochę wymuszoną i mocno zarumieniona.

Tak rozpoczęta rozmowa, z pomocą księżny Teresy, która miała dar ożywiania jéj i prowadzenia, byłaby gładko i przyjemnie potoczyła się daléj, po równéj powierzchni rzeczy powszednich, gdyby (był-to dzień niespodzianek) z przedpokoju nie dała się słyszéć stłumiona jakaś rozmowa, zwiastująca gościa nowego.

Wszyscy umilkli, zdziwieni trochę, bo się nikogo więcéj nie spodziéwano. Na twarzy gospodyni odmalował się niepokój i ciekawość. Zdala rozmowa ta ze służącym w przedpokoju brzmiała jakby spór z nim dość żywy.

Nieznany głos brzmiał męzko. Pani Liza spojrzała na brata, a ten domyślił się, że obowiązkiem jego było pójść się dowiedzieć, co mogło o téj godzinie zamieszać spokój tak niespodzianie.

Wybiegłszy z pośpiechem, Ferdynand postrzegł przy świetle włoskiéj lampki, którą służący trzymał w ręku, gwałtem prawie przez półotwarte drzwi chcącego się wcisnąć mężczyznę.

Powierzchowność jego tak mało przemawiała za nim, iż służący wahał się, czy ma go przypuścić do wykwintnego towarzystwa swéj pani.

Był-to mężczyzna lat średnich, ubrany bardzo niestarannie, tak jak się tylko u wód i w podróży prezentować godzi, w odzieży letniéj, jasnéj, opylonéj i pomiętéj, w krótkim surduciku, w kapeluszu fantastycznym, nabakier na bujnych włosach rzuconym, z brodą czarną, z oczyma ognistemi i jakby błędnemi, z dużym w dodatku kijem w ręku. Na nogach jasne trzewiki ze skóry nieczernionéj i kamasze wytarte dopełniały stroju. Z kieszeni wypchanych niedbale powtykane stérczały książeczki notatkowe, tomiki jakichś pomiętych publikacyj ulicznych i różne sprzęty podróżne, z pośrodka których ołówki górowały.

Oryginalne to indywiduum pan Ferdynand niedawno właśnie był spotkał cóś szkicujące w Colosseum, wziął je więc za artystę. Niepotrzebnie może zaglądając w rysunek, wdał się z nim w rozmowę, i okazało się z niéj, że trafił na ziomka, nie na malarza, jak sądził, ale na jakiegoś ekscentryka, dziwaka,

cynika, który jednak był człowiekiem wielce pociągającym i niepospolicie wykształconym.

Zawiązana rozmowa przywiodła pana Ferdynanda nieznacznie do tego, że mu powiedział nazwisko swoje i mieszkanie. Nie zapraszał go jednak do siebie. Nawzajem owo indywiduum dało panu Ferdynandowi kartę z nazwiskiem zagadkowém, nieznaném Wiktora Gorajskiego, *tout court*.

Spostrzegłszy przybywającego o téj godzinie człowieka, który wcale do towarzystwa zebranego w salonie nie zdawał się przypadać, zakłopotany wice-gospodarz pośpieszył go przyjąć i nie śmiąc wprowadzać do siostry, zaprosił obok do swojego pokoju.

Ów pan Wiktor Gorajski wszedł z dumną postawą, kwaśno popatrzywszy na sługę, który mu z drogi ustąpił; zdjął zwolna kapelusz swój kalabryjski i z zupełną swobodą niedbającego o to, jak się komu wyda, człowieka, posunął się zwolna ku zmieszanemu Ferdynandowi. Gdy się to odbywało w przedpokoju, gospodyni niespokojna, wyglądając drzwiami ku bratu, dostrzegła osobliwszą postać, z którą rozmawiać poczynał, i na służącego skinęła.

W chwilę potém sługa panu Ferdynandowi, który już gościa swego wprowadził do pokoju przyszedł cóś szepnąć do ucha.

Przybyły pan Wiktor śledził wszystko bacznie, a rozsiadał się bez ceremonii, lokując kij swój i kapelusz przy sobie.

– Nie wporę, widzę, przyszedłem – odezwał się gość, bynajmniéj nie okazując zmieszania – ale proszęż mi powiedzieć

otwarcie. Pan tu nie sam mieszkasz, a ja o tém nie wiedziałem. Prosić będę tylko o szklankę limonady i ruszam daléj.

– Mieszkam z siostrą moją, która ma u siebie kilka osób znajomych – rzekł grzecznie pan Ferdynand. – Nie chciałem panu czynić subiekcyi.

– Mnie? – rozśmiał się, ramionami ruszając, przybyły. – Ale ja nigdy najmniejszéj subiekcyi nie doznaję, czy mi się zdarzy w szynku na Transtewerze znaléźć między obdartusami, czy w królewskim salonie wśród ekscelencyj. Ludziom i panu zrobiłbym subiekcyą sobą, to rzecz inna. Nie jestem podobno tak ubrany, abym godzien był zaprezentować się w salonowém towarzystwie. Jestem włóczęgą, turystą i nie spodziéwałem się wcale znaléźć u pana kobiéty – przepraszam, poprawił się – powinienem był powiedzieć damy!

Wyraz „damy” wymówił z przyciskiem i ironią, popatrzył na siebie i strój swój, wistocie bardzo niesalonowy i rozśmiał się pocichu.

Tymczasem służący po drugi już raz przyszedł, znowu cóś do ucha szepnąć panu Ferdynandowi. Młodzieniec wahał się z odpowiedzią. Można się było domyślać łatwo, że pani Liza zapraszała gościa brata swego do salonu, nie wiedząc jak wygląda, a on nie śmiał go tam wprowadzać.

Pan Wiktor, którego to wcale nie obchodziło, ociérając z czoła pot i pył wielką chustką, niezbyt już świéżą, przypominał się tymczasem służącemu o szklankę limonady.

– Pozwolisz mi pan na jednę minutę wybiedz do siostry? –

zapytał gospodarz.

Gość skłonił się przyzwalająco.

Pan Ferdynand szybkim krokiem wpadł do saloniku, w którym panowało milczenie. Wszyscy byli zaintrygowani.

– Chcesz abym gościa mojego tu wprowadził – zawołał żywo do siostry – ale kazałem ci już powiedzieć, jak jest ubrany. Wraca pewnie z przechadzki, a nie wiedział że nie sam tu mieszkam. Rozpowiadałem ci o mojém spotkaniu z tym oryginałem w Colosseum, jak dziwacznie wygląda i mówi ten turysta-Diogenes… Jakże chcesz…

– Cóż to szkodzi, że nieubrany? – przerwała księżna bardzo nagląco – wszyscy jesteśmy turyści i jak na popasie. Raz przecie spotkamy się z czémś ekscentryczném. Może nas rozśmieszyć, podrażnić, ale przynajmniéj nie znudzić. Dawaj nam go tu pan na pastwę…

– Ale… – spróbował jeszcze zaprotestować, ruszając ramionami, pan Ferdynand.

– Żadnego ale! Wszyscy go tu chcemy miéć, a im dziwaczniéj wygląda, tém pożądańszy – odparła księżna.

Pani Liza skinęła na brata, potwierdzając, a ten posłuszny wymknął się z salonu i trafił na to, gdy służący podawał gościowi limonadę, którą on pił z widoczną rozkoszą zmęczonego i spragnionego człowieka.

– Jeżeliś pan łaskaw i pozwolisz się zaprezentować mojéj siostrze i księżnie Teresie, która jest u nas, zaprosiłbym go do salonu.

Dostojne imię księżny, zapowiedziana znajomość drugiéj pani, na podróżnym nie zdały się wcale wielkiego robić wrażenia. Spojrzał na swój kij, który po namyśle zdecydował się porzucić w przedpokoju, wziął za ogromny kapelusz opylony i, jak stał, niewiele się o strój swój troszcząc, ruszył z panem Ferdynandem. Z nich dwóch, z pewnością drugi był daleko mocniéj zakłopotany.

W salonie z ciekawością oczekiwano na zapowiedzianą figurę ekscentryczną, o któréj gospodyni rozpowiadała pocichu, co posłyszała od brata. Najmniéj może zajęcia okazywał siwowłosy, który nie lubił się bawić tém, co wistocie robiło wrażenie smutne. Kobiéty zato oczy miały zawczasu na drzwi zwrócone.

Pan Wiktor wchodził zwolna, poważnie, pewien siebie. Nie można się było dziwić panu Ferdynandowi, że go wziął znowu za artystę, miał bowiem w całéj swéj postaci cóś, co przypominała żywo konwencyonalny typ artysty-Cygana, do któregośmy z francuzkich ilustracyj nawykli.

Z pod téj powłoki jednak, jak gdyby sztucznie i umyślnie przywdzianéj, zdawało się przeglądać cóś, co się w nim domyślać kazało człowieka wyższego towarzystwa, który dobrowolnie zdziczał.

Twarz jego, któréj włosy rozrzucone, broda i wąsy długie, zaniedbane nadawały fantastyczne znamię, była jeszcze piękną, choć mocno już życiem zniszczoną. Szlachetne, delikatne rysy jéj okrywała skóra zżółkła, jakby wyschła, gdzieniegdzie poprzecinana zawczesnemi zmarszczkami. Malarz mógłby był

z niego zrobić łatwo jakiegoś Byronowskiego bohatéra, lub romantycznego bandytę. Lecz namiętności, co jak rozpalona lawa przebiegały i poorały twarz tę piękną niegdyś, dziś zdawały się już ostygłe, gorycz tylko jakąś i sadze zostawując po sobie.

Widok zebranego przy okrągłym stole towarzystwa nie zaimponował bynajmniéj przybywającemu. Jak gdyby był najwytworniéj ubrany, ze swobodą i zręcznością człowieka nawykłego do świata, zbliżył się do gospodyni, tłumacząc iż zmuszony tylko, śmié się jéj przedstawić w tak podróżném ubraniu.

Skłonił się potém z wielkiém uszanowaniem księżnie, która go nadzwyczaj ciekawemi i jakby zdumionemi badała wejrzeniami, dał się zaprezentować dwom hrabiom i zajął miejsce wskazane ze swobodą człowieka, który nic nie ma do stracenia i nic téż zdobywać nie myśli.

Gospodyni, nie wiedząc od czego rozpocząć ma rozmowę, zapytała go, od jak dawna przebywa we Włoszech.

– O, ja się tu po tych Włoszech i po całym świecie włóczę już od lat wielu – podróżny rzekł bez przymusu, z otwartością i poufałością niespodzianą. – Należę do téj kategoryi ludzi u nas licznych, zwichniętych, którzy nie wiedzą co mają zrobić z sobą; włóczę się więc, słucham, patrzę i… zabijam czas, nie mając co z nim robić.

– Brat mój mi mówił, że pan się zajmujesz sztuką – dodała gospodyni nieśmiało.

– Jest-to jedyna rzecz jeszcze na świecie, która mnie nie

znudziła – odparł podróżny – chociaż i z nią często się kłócę.

Księżna, zdająca się z żywém zajęciem śledzić tę zagadkę, wtrąciła, mieszając się do rozmowy:

– Zdaje mi się, że i ja kilka razy widziałam pana zdaleka, szkicującego cóś na ruinach.

– Bardzo to być może – rzekł zapytany. – W Rzymie widzi mnie każdy niemal codzień w jakimś zakącie, bo się snuję nieustannie.

– Rzym tak jest ponętny dla artysty! – zauważyła gospodyni.

– Ale ja artystą nie jestem i być nie chcę – przerwał żywo gość. – Jest to i zawiele dla mnie honoru i zamało. Artyści są-to najczęściéj istoty, które widzą tylko skorupę rzeczy i ograniczają się wrażeniami, nie sięgając głębiéj. Trzeba być trochę i artystą, ale być tylko artystą – biédna to rzecz, smutna dola!

Wszyscy słuchali go z uwagą wielką. Piękne rączki przysunęły mu filiżankę herbaty, którą po pewném wahaniu się przyjął gość i rzuciwszy kapelusz swój pod nogi, oparłszy się wygodnie o krzesło, począł rozglądać się baczniéj po towarzystwie.

Księżna, która miała swą własną teoryą poznawania ludzi i klasyfikowania ich, poczęła się przypatrywać rękom przybyłego. Brakło ich jéj jeszcze do uzupełnienia charakterystyki téj postaci. Ręce dla niéj były cechą niezbędną, znamieniem stanowczém, bez którego obejść się nie mogła, chcąc sądzić o człowieku.

Pomimo nadzwyczajnego zaniedbania stroju, obuwia, włosów, ręce pana Wiktora, które się ukazały z rękawów

nankinowéj żakietki, mogły zastanowić wistocie pięknemi kształty i utrzymaniem staranném. Księżna odetchnęła swobodniéj, przekonawszy się z nich, że gość nie mógł być awanturnikiem, że musiał należéć do tego, co się nazywa dobrém towarzystwem, choć bywa wcale nieosobliwém. Ale dlaczegóż tak zdziczał?

Twarz, choć wynędzniała, nie dozwalała przypuszczać, aby doszedł nawet lat cztérdziestu, nie miał więc potrzeby tak wcześnie zrozpaczyć o sobie.

Nastąpiła chwili milczenia, wczasie któréj wszyscy ukradkiem spoglądali po sobie, jakby wrażeniami swemi dzielić się chcieli, lub ich potwierdzenia szukali.

Ruchawy hrabia Filip krzywił usta złośliwie, szydersko. Hrabia August przypatrywał się przybyłemu z zajęciem wielkiém, zdając się chciéć sobie przypomniéć, gdzie i kiedy spotkał już tę twarz w życiu. Gospodyni miała minkę trochę wystraszoną. Księżna bawiła się tém zjawiskiem, nie tając się, że mu była rada, lecz razem zdając się czémś zaniepokojoną. Naostatek przyczyna wszystkiego, pan Ferdynand, stał w kącie zmieszany, poczytując się za winowajcę i obawiając… sam dobrze nie wiedział czego. Poznać się z jakimś obdartusem w Colosseum było rzeczą naturalną; ale być za karę zmuszonym wprowadzić go do domu?… Bardzo być może, iż ów podróżny śmiał się w duszy z wielkiego wrażenia, jakie tu zjawieniem się swém wywołał.

– A z kraju dawno pan już? – zapytała nieśmiało księżna,

wlepiając w niego oczy.

Panu Wiktorowi brwi się trochę ściągnęły; pomyślał chwilkę i rzekł:

– Niezmiernie dawno, tak dawno, że mi się te lata w wieki przemieniły. Noszę się z tęsknotą po nim i nigdzie jéj zgubić nie mogę. Czasem zdaje mi się na moment jakiś, żem się już pozbył téj nieznośnéj towarzyszki; ale, gdy się najmniéj spodziéwam, we śnie lub na jawie, powraca. Jaka to szkoda, że człowiek nie może się pozbyć siebie i przetworzyć, gdy zechce, na inną istotę.

Uśmiéchnął się gorzko.

– Co do mnie – wtrącił gwałtownie hr. Filip, ostrym swym głosem i intonacyą fałszywą – co do mnie, ja nie pojmuję zupełnie, jak można za granicą tęsknić za krajem naszym i wzdychać do niego. Może to być bardzo ładném, bo wygląda na patryotyzm; ale ja sobie z tego sprawy zdać nie umiem. Przyznaję się, żem kosmopolita.

Gość zmierzył mówiącego błyskiem swych oczów ognistych. Zdawało się że cóś odpowiedzieć zamyśla; ale otworzył tylko usta i… zapił herbatą. Odpowiedź zostawił innym, poczuwszy może, iż z ust jego wyszłaby ona zaostrą.

Tymczasem nikt nie odpowiedział hrabiemu; milczenie ciężkie, ołowiane niemile przycisnęło całą gromadkę, a hrabia Filip, zmieszany niém, sam czuł się w obowiązku niepodniesioną rękawicę wziąć do ręki.

– Co do mnie – powtórzył z naciskiem – otwarcie się przyznaję do mego kosmopolityzmu i do téj pory przynajmniéj

tego nie żałowałem.

Gość popatrzył nań bacznie i dorzucił:

– Tak, za nic ręczyć nie można. Są choroby, które powracają po latach dwudziestu i więcéj, a gdy powrócą, zabijają.

Dwuznaczném to było.

Nikt z większą uwagą nie słuchał oryginalnego gościa, nad księżnę. Pochwyciwszy ostatnie jego wyrazy, uśmiéchnęła się, zakrywając wachlarzem.

Hrabia August wstał pocichu i począł się przechadzać po salonie, zatopiony w sobie.

Księżna przerwane badanie ciągnęła daléj.

– Nie dowiedzieliśmy się od pana, jak dawno bawisz we Włoszech. A w Rzymie, myślisz pan przebywać długo?

Trochę natarczywe pytanie zmusiło gościa do zwrócenia się ku księżnie.

– I na to odpowiedź moja wyda się pani dziwaczną – rzekł. – Ale nie mogę, dla uniknienia posądzeń o zmyśloną ekscentryczność, powiedziéć nieprawdy. Otóż ja nie wiem nigdy, gdzie jak długo bawić będę. Przychodzi mi nagle ochota, pokusa jakaś, zachcenie, nudy – biorę kij i jestem fantazyi posłuszny. W Rzymie zaś nigdy nikt pewnym być nie może, czy zabawi do jutra, lub całe życie.

– Tak, Rzym ma urok wielki – odezwała się księżna poważnie.

Gość spuścił głowę; nie zaprzeczył, ani potwierdził. Nagle dopił herbaty, chwycił z pod nóg leżący na ziemi kapelusz, wstał, pożegnał gospodynię, księżnę, zdala téż innych gości

i przeprowadzony przez Ferdynanda, zniknął z salonu.

W tém zbyt pośpiesznem wyjściu było cóś uderzającego, dziwacznego, jakaś fantazya nagła, i gdy drzwi się za odchodzącym zamknęły, księżna wybuchnęła:

– Oryginalny! nie zawiedliśmy się.

Hrabia August, który stał trochę na uboczu, przybliżył się do stolika.

– Dziwna rzecz – odezwał się – nie mogę sobie przypomnieć jak, gdzie, kiedy, alem pewien że tego człowieka znałem, spotykałem już w życiu. Siliłem się na rozbudzenie mojéj pamięci… zawiodła mnie.

– Ach! – rozśmiał się hr. Filip – podobnego doń musiałeś widzieć w jakiéjś ilustracyi francuzkiéj: pół-bandyty, pół-artysty, figura dosyć osobliwa, a mało sympatyczna.

– Bardzo przepraszam – żywo zaprotestowała księżna – staję w obronie. Jest-to typ pospolity napozór, lecz bardzo różny od tych, za których powierzchownością się ukrywa. Na piérwsze wejrzenie prawda że robi wrażenie pół-karykatury, ale dosyć mu się baczniéj przypatrzyć, aby się przekonać, że nie gra roli przybranéj, że jest, nie myśląc o tém, takim, jakim go Bóg stworzył, albo nieszczęśliwe losy uczyniły. Wrażenie, jakie wywarł na hr. Auguście, i mnie się czuć dało; kogoś mi przypomina. Wydaje mi się jakby dawno znajomym, choć jestem pewna, żem go nigdy nie widziała.

Uśmiéch przebiegł po ustach hr. Augusta, który, milcząc, usunął się w głąb pokoju.

Księżna obróciła się ku gospodyni, która siedziała, nie biorąc udziału w rozmowie.

– No a ty, mój aniele, co o nim mówisz? – zapytała.

– Ja? – zająknęła się, rumieniąc trochę, gospodyni – ja? Ależ prawdziwie nie wiem, co odpowiedzieć… Wydał mi się trochę strasznym, zagadkowym, a ja nie lubię tajemnic. Sama-bo nie wiem…

Ostatnie wyrazy zagłuszyło pożegnanie hrabiego Augusta, który pochwycił za kapelusz; hrabia Filip poszedł za jego przykładem. Obaj wyszli razem.

Noc letnia we Włoszech, zwłaszcza po dniach upalnych, do naszych nocy, poświęconych spoczynkowi, wcale nie jest podobną.

Gdy minie owa niebezpieczna chwila zachodu słońca, spadania rosy, podnoszenia się zatrutych wyziewów, wszystko, co się dusiło we dnie od skwaru, oddycha, wysuwa się na powietrze i dopiéro żyć poczyna.

Ale nie jest-to już życie uliczne dnia, gwarne, ruchawe, głośne. Mało kto się przechadza; rodziny zasiadają w progach, a ci, co rodzin nie mają, szukają towarzystwa u drzwi tratoryj i kawiarń. Gdzieniegdzie odzywa się brzęcząca komarowym głosikiem gitara, śpiéw nucony cicho, szanujący milczenie nocy. Rzadki tylko krzyk urwany przerwie czasem tę harmonią życia mroków, w którém czuć pragnienie spokoju, napawania się ciszą.

W ogródkach otwartych, osłonione cieniem, stoją gdzieniegdzie pary tajemnicze, kryjąc się i szukając mroku, nie

żeby się wstydziły tego co je ku sobie zbliżyło, ale instynktem czując, iż miłość jest jedną ze świętych tajemnic natury, którą się profanuje, wyciągając ją na świat, na oczy, na słońce.

Jéj tak potrzeba cienia, jak fijołkom, które więdnieją, gdy dotknie ich promień gorętszy. Warzy je cyniczne spojrzenie słońca.

Pół przezroczystą noc włoską, nawet gdy jest bezksiężycową i wydaje się czarną, oświécają tajemnicze odblaski ziemi, łagodnie obléwające wszystko. Naówczas stokroć piękniejsze niż we dnie, do niepoznania zmienione, dziwne, fantastyczne wyrastają z murów odrapanych poemata, piętrzy się, olbrzymieje, rozrasta najlichsza chałupa. Linie ostre zléwają się, tony miłośnie dostrajają do siebie w ogólnéj harmonii, choć we dnie kłóciły się z sobą. Świat jest niedopoznania, do rozkochania się w nim. Macierzyńska ręka nocy starła z niego wszystkie brudy, wróciła mu młodość; niby znowu śpi w pieluchach, a nad kolébką śpiéwa mu ta cisza tajemnicza, w któréj słychać to, co komu własna mówi dusza, zawsze w zgodzie z tym wielkim chórem milczenia.

Muzyka to nie dla uszu; chwyta ją serce i takt jéj wybija.

Tego co mówi noc, we dnie nigdy posłyszéć, pomyśléć nie można. Jak inne istoty zaludniają ciemności, tak inne myśli po nich wirują. Mężni tracą czasem odwagę przez nie, bojaźliwi stają się zuchwałymi. Każdy człowiek czuć musi na sobie ten wpływ tajemniczy.

Oko błąka się tu, nie znajdując tego co znało we dnie;

drogi zawaliły mroki, ściany ciemne wychodzą jasno i świécić się zdają; na niebiosa występują wieżyce, jak olbrzymy w szyszakach do boju; mosty, jak pająki czarne, siedzą rozpostarte na rzékach… W mieście pogasły ogniska dzienne, a zapaliły się nocne, których blade promyki sączą się przez szpary. Cisza… szmery, mruczenia, szelesty. Zda się że reszty życia głośniejszego o słońca zachodzie wiatr wymiótł, jak gosposia izbę na niedzielę.

Rzym ma o tych godzinach sobie właściwą, jedyną na świecie muzykę. Gdy wszystko umilknie, daje się słyszéć chór wodotrysków, nieustannie lejących zdala przyniesione życie, choć go teraz nikt czerpać nie przychodzi.

O, dziwnyż to ten szept wód, bijących lat tysiące! Potrzeba się weń wsłuchać, jak niezmiernie jest różny. Głosy niby ludzkie mają te fontanny: jedna szemrze męzkim tonem, druga ma szczebiotliwą mowę niewieścią; ta gwarzy cóś jak matka, co usypia dziécię, druga jak dziéwczę drażniące się z kochankiem, inna się śmieje i szydzi, niektóre modlą, a wielkie wodospady dumnie hałasują, że je w niewolę wprzężono. Nieinaczéj grzmiałyby, gdyby głos miały, te posągi zwyciężonych królów, z obciętemi rękami, spętane, co leżą podruzgotane na Kapitolu.

Urok téj nocy letniéj w Rzymie musiał czuć hrabia August, gdy wyszedłszy z Via Sistina, puścił się wolnym krokiem ku mieszkaniu swojemu. Hr. Filipa, natrętnie mu towarzyszącego, zdawał się nie widziéć.

Podszedłszy kroków kilka, stanął i zamyślił się.

– Co prawda, to prawda – odezwał się hrabia Filip – w tym Rzymie nawet spać się położyć niepodobna w przyzwoitéj porze. Pomijam to, że noce wściekle są gorące, że komarów pozbyć się niepodobna; ale co to za noc!

Zagadnięty hr. August nic nie odpowiedział. Drażniło to jego towarzysza; przysunął mu się do samego boku.

– Hrabia pewnie myślisz jeszcze małą odbyć przechadzkę. Jest to rzecz miła, ale zawsze bezpieczniéj być we dwóch, niż samemu. Ja chętnie towarzyszyć mu będę.

Milcząc, hrabia August dał na to przyzwolenie.

Szli daléj bardzo powoli. Siwowłosy nie zdawał się usposobionym do zamiany nietylko myśli, ale nawet słów obojętnych.

Filip znowu milczéć nie umiał. Niektórzy znajomi jego utrzymywali, że myślićby nie mógł inaczéj, jak głośno.

– Pani Liza! – zawołał po chwili – jak bóstwo nieśmiertelna; zawsze jest młodą, zawsze uroczą!

Wiedział zapewne, że na tę uwagę nie otrzyma żadnéj odpowiedzi, bo zaledwie mały zrobiwszy przestanek przez grzeczność, natychmiast ciągnął daléj:

– Ma pewnie lat trzydzieści; pomimo to momentami zdaje się zaledwie rozkwitającém młodém dziéwczęciem. Co to za kobiéta! co za urok w niéj!

Zamilkł trochę znowu i jakby się obawiał, aby mu słowa nie odebrano, wnet ciągnął daléj z pośpiechem:

– Dla mnie w niéj co jest najbardziéj niepojętém, to że

ma w sobie dwie różne istoty, obie równo zachwycające, najcudniéj łączące się w jednę, choć wcale do siebie niepodobne. Czasem bywa złamaną życiem i cierpieniem, prawdziwą wdową po wszystkich złudzeniach; niekiedy dziéweczką i klaszcze w dłonie… nic nie zna, a wszystkiego pragnie.

– Bardzo to trafne – rzekł lakonicznie hr. August.

Pochwała z ust otwiérających się tak skąpo pochlebiła hr. Filipowi; rozśmiał się, rad sam z siebie, jakby mówiąc wejrzeniem zwróconém do towarzysza: „a widzisz! i ja mam bystre a głęboko sięgające wejrzenie! ”

Szli daléj, coraz wolniéj.

– Mów co chcesz, hrabio Auguście – dodał Filip, jakby chciał nowém postrzeżeniem utwierdzić dobre wrażenie jakie uczynił – mów co chcesz, ty się w niéj kochałeś dawniéj. O tém wié świat cały; ale i dziś… o! i dziś kochasz się w niéj jeszcze!

Hrabia August stanął, spojrzał zgóry i uśmiéchnął się z politowaniem.

– Nacóżby się to dzisiaj zdało? – westchnął.

– Ba! nacóż się miłość kiedykolwiek przydała? – żywo odparł hrabia Filip. – Wedle wyrażenia francuzkich poetów XVII wieku, które odziedziczyli madrygaliści XVIII wieku, miłość jest „słodką męczarnią” zawsze.

Uśmiéchnął się hrabia August.

– Na mnie – ciągnął niemogący powstrzymać się od paplania Filip – Liza czyni wrażenie niewypowiedzianie smutne. Widzę w niéj poczciwego, pełnego ufności wierzyciela, który w ręce

niegodziwego człowieka oddał całą swą fortunę i nigdy jéj już nie odzyszcze. Co ona zawiniła, że życie jéj zostało zwichnięte, złamane, zepsute bezpowrotnie? Dlaczego, zaco taka anielska istota, ucierpiawszy tyle, nigdy już nie ma być szczęśliwą? Życie z piérwszym mężem musiało jéj zatruć resztę życia aż do zgonu… Biédna!

Zwykle niemiły, suchy, ironiczny głos hrabiego Filipa, czy się istotnie rozgrzał uczuciem jakiémś, czy umiał je naśladować, zadrgał sympatyczniejszym tonem.

Towarzysz spojrzał ku niemu. Każda najlżejsza oznaka uwagi dodawała Filipowi coraz większéj ochoty do przedłużania swych postrzeżeń i zwierzeń.

– Przeznaczenie! fatalność! – mówił. – Piękna, młoda, bogata, dostała się, dziwnym zbiegiem okoliczności, intryg, człowiekowi najpotworniéj zepsutemu, satyrowi bez sumienia i wstydu, możeż być los okropniejszy? Żyć z nim tyle lat, ociérać się takiemu aniołowi o takie brudy!

– Do aniołów brudy ziemskie nie przystają! – zawołał jakby mimowolnie hrabia August.

Niezmordowany mówca zdawał się chciéć jeszcze przedłużać swe ubolewanie nad losem pięknéj wdowy, gdy uczuł że hrabia August pochwycił go ręką silną i nakazująco podniesionym głosem zawołał:

– Proszę cię, zlituj się, dosyć już o tém!

Stosunek tych dwóch na jednym szczeblu społecznym stojących ludzi cały się uwydatnił w téj rozmowie. August

miał uznaną wyższość nad swym towarzyszem, który mu był powolnym i chętnie posłusznym.

Nie szemrał, nie obrażał się, nie protestował, natychmiast zastosowywał się do rozkazów i dosyć było żądania hrabiego Augusta, aby Filip zamilkł. Szukał już tylko nowego do rozmowy przedmiotu.

Szli teraz jedną z tych starych uliczek miasta, które na Corso ujście mają; ale była to jedna z najszérszych i najczystszych, do któréj najwięcéj wpadało powietrza, którą zamieszkiwało nie pospólstwo samo, ale i zamożniejsi ludzie. Tu i owdzie bruk ciemny przerzynał pasy świetlane z otwartych drzwi domostw i kilku kawiarń.

Pół we mroku, napół w świetle widać było u stoliczków, na chodniki powystawianych, spóźnionych gości z cygarami, na cichéj rozmowie. Czerwone końce cygar świéciły niby gwiazdki w cieniu.

Mijali właśnie, drugą stroną ulicy idąc, jednę z niepokaźnych kawiarni i garkuchni razem, szczycącą się przydomkiem *antica*, gdy mimowolnie wzrok ich padł ku wnętrzu wielkiéj izby, w któréj gości już było mało. Hrabia Filip silnie potrącił w bok łokciem swojego towarzysza, zwracając uwagę jego na widok, jaki mieli przed sobą.

U małego stoliczka, z krótką fajeczką w zębach, w kapeluszu nabakier fantazyjnie rzuconym, siedział niedawno zbiegły z salonu ów pan Wiktor, którego Filip pół-artystą, pół-bandytą mienił. Siedział wygodnie, rozparty széroko, pochylony nad

szklanką limonady.

Przed nim stała, poufale jedną ręką o stół oparta, drugą podtrzymująca głowę pochyloną, młodziuchna dziéweczka, nędznie, ubogo odziana, w sukni bez barwy, w trzewiczkach podartych na małych, ale pobrukanych bosych nóżkach. Prawdziwa Włoszka, była zarazem zaniedbaną i strojną. Gałganek jedwabny, niegdyś jaskrawy, zastępował chusteczkę na ramionach i szyi, a we włosach czarnych, bujnych wpięte miała błyszcząca szpilki i grzebyki. Ręka sparta na stoliku świéciła pierścionkami, sznurek paciorek widać było z pod chustynki.

Najwięcéj jednak zdobiła ją ledwie z pączka dobywająca się krasa młodości. Z téj sylwetki ciemnéj, malującéj się na tle izby jasném, zdala odgadnąć było można prześliczne kształty ubogiéj Psychy, pół-dziécięcia, pół-dziewicy.

Nędzne ubranie, przystające do ciała, nie osłaniało, ale uwydatniało kształty postaci, jak z marmuru wykutéj, instynktowo przybiérającéj wdzięczne ruchy i postawy.

Hrabiowie mogli się przypatrzyć, zbliżywszy nieco, profilowi jéj greckiemu, utoczonéj szyi, popiersiu i archaicznie szczupłéj figurze, jak rysunek Flaxmana, kilką prostemi liniami określonéj na dnie jasném.

Wiktor rozmawiał z tą dziéweczką, która się zdawała z nim spoufaloną i szczebiotaniem wesołém mocno zajętą. Nie słychać było nic, lecz odgadnąć mogli łatwo, że swobodnie, wesoło gwarzyli z sobą, pewnie nie poraz piérwszy.

Artysta, nie spuszczając z niéj oczu, patrzył w pochyloną

ku sobie; ona bez obawy uśmiéchała mu się, niekiedy żywiéj potrząsała głową, groziła palcami, pomagając sobie, zwyczajem Włochów, rozmaitemi ruchy. Wszystkie one były wdzięczne, bo młodość ma ten dar, że piękną być musi, choć o tém nie myśli, choć tego nie pragnie.

Wiktor z tą dziéweczką, w oświéconych drzwiach malując się *en vigueur*, tworzyli jakby w ramy ujęty obrazek, wcale ładny, któremu nic nie brakło, nawet dobrze ugrupowanych akcesoryów. Dwaj panowie, napatrzywszy się na nich, długo oczów oderwać nie mogli.

– Mamy tedy czarno na białém – odezwał się, dowcipkując, hrabia Filip – dowód, jakie tu ten jegomość ma stosunki w wiecznym grodzie. Birbanta kawał, z oczów mu to patrzy!

Zamiast odpowiedzi, hrabia August mruknął sam do siebie:

– Gdzie ja tego człowieka widziałem? bo twarz ta mi niezmiernie znajoma! Co u licha!

– Zbliżmy-no się, zrobimy mu nieprzyjemną niespodziankę – podszepnął złośliwie Filip.

Z innych zapewne powodów milcząco przystawszy na to, hrabia August począł wolnym krokiem zbliżać się ku drzwiom kawiarni.

Usłyszawszy chód, dziéwczę, bez trwogi i wcale niezakłopotane, zwróciło główkę ku przychodzącym, ale się z miejsca nie ruszyło. Po chwili zwolna obejrzał się na nich także pan Wiktor, z równym spokojem.

Poznawszy hr. Augusta, pozdrowił go uśmiéchem i lekkiém

głowy skinieniem. Dziéwczę, widząc że nadchodzący byli znajomi, uśmiéchnęło się do siedzącego i założywszy ręce na piersi, odeszło parę kroków w głąb izby.

– Zastaliśmy pana w bardzo miłém towarzystwie! – oderwał się szydersko hrabia Filip.

– Wistocie – odparł swobodnie, nie wstając z miejsca i nie zmieniając postawy, Wiktor. – Nie może być nic przyjemniejszego, nad świegotanie ptaszka na wiosnę, nad szczebiot takiego naiwnego dziéwczęcia, zwłaszcza gdy tak jest piękne, jak ta Pepita.

Usłyszawszy wymienione imię swoje, dziéwczę się trochę zarumieniło; ściągnęło brwi czarne, ustąpiło krok jeszcze, ale nie uciekało.

Obaj przybyli przyglądali się jéj zdaleka. Po piérwszym rumieńcu, już dalsza rozmowa i wejrzenia niewiele zdawały się obchodzić pannę Pepitę. Poprawiła tylko trochę chustynki i bose nóżki wycofała tak, aby je suknia wązka zasłonić mogła.

– Robisz pan studya artystyczne, czy etnograficzne? – zapytał hrabia Filip.

– Etnograficzne, psychologiczne, artystyczne, najrozmaitsze studya, to powołanie moje – odparł, nową nakładając fajeczkę, pan Wiktor. – Jest-to zadanie tych, co w życiu innego nie mają.

Hrabia August usiadł tymczasem milczący przy tym samym stoliku i zażądał limonady. Hrabia Filip poszedł za jego przykładem.

„Gdzie ja widziałem tego człowieka? ” zdawał się ciągle

powtarzać sobie pocichu, wzrokiem badawczym wpatrując się w niego, hr. August.

Postawszy trochę, Pepita, któréj wejrzenie padło raz jeszcze na siedzącego artystę, usunęła się powoli i znikła w drugiéj izdebce.

– Darujesz mi pan – odezwał się po chwili hrabia August – ale jestem zmuszony zadać mu niedyskretne pytanie. Mylę się może, pamięć zamglona, podobieństwa jakieś łudzić mnie mogą, lecz widząc pana, coraz mocniejszego nabiéram przekonania, żeśmy się chyba już gdzieś, kiedyś w życiu spotykać musieli. Nie możesz mi pan tego wyjaśnić? Nazwisko jego jest mi nieznajome, ale twarz, twarz…

Wiktor, który oczy miał spuszczone, podniósł je na hrabiego. Długo patrzył nań, jakby namyślając się, spojrzał na towarzysza i począł głosem urywanym:

– Żeśmy się gdzieś na świecie spotkali, ta bardzo być może. Nie potrafię jednak panu hrabiemu wyjaśnić gdzie i kiedy. Zmuszony byłem, niestety, zerwać z moją przeszłością: dziś zowię się Wiktorem Gorajskim. O wielu rzeczach chciałbym i muszę zapomnieć, a radbym, żeby ich i drudzy nie pamiętali. Gdyby nie ta okoliczność, miłoby mi było przypomnieć się zaszczytnéj dla mnie znajomości pana hrabiego. Są położenia wyjątkowe, które godzi się jeśli nie poszanować, to mieć dla nich względy pewne.

Hrabia August skłonił głowę i zamilkli. Odpowiedź ta hrabiego Filipa mocno zaintrygowała. Więcéj jeszcze

zdumiéwało go to, że człowiek tak niepozorny, wyglądający na ubogiego jakiegoś artystę, wcale się nie żenując w towarzystwie dwóch hrabiów państwa rzymskiego, siedział rozparty na stole, nie zważając na nich, nie okazując im najmniejszego respektu.

W téj chwili właśnie zapalał fajkę tytuniu, który ani z tureckim, ani z hawańskim, ani z Latabią najmniejszego nie miał pokrewieństwa, a cuchnął francuzkim kapralem.

Limonadę żądaną przyniesiono im w prostych, dużych szklenicach, tak jak ją tam podawano wszystkim, od wyrobników począwszy.

Hrabia Filip spoglądał na zielonawą szklankę z podejrzliwością przywykłego do kryształów człowieka.

– Lokal pan sobie wybrałeś wcale niewykwintny – odezwał się po chwili. – Jedno co pana uniewinnia, to owa prześliczna Pepita. Nietrudno odgadnąć, że chyba ona mogła tu pana sprowadzić o téj godzinie.

– Wcale się tego nie zapiéram – odpowiedział Wiktor. – Z wielką przyjemnością słucham szczebiotania tego ślicznego dziécięcia, medytując nad tém, jakim cudem z tak wdzięcznéj istoty, za lat dziesiątek może wyrosnąć tak straszliwa baba, jaką jest jéj *cara mamma*. Są bowiem do siebie charakterem, twarzami, krwią i duchem najzupełniéj podobne, a Pepita jest w swym rodzaju arcydziełem, gdy mammita stała się okropną potworą.

– Ha! czas płaci, czas traci! – szepnął ironicznie hrabia Filip.

– Ciągle się mówi o zagadkach życia – dodał Wiktor. – Ale

ja prawdziwie nie wiem, co nie jest zagadką. My, świat, żywot nasz, jego błyski i cienie – to zagadki same… wszystkie ich tłumaczenia są śmiesznémi farsami!

Zapatrzył się w stół. Hrabia August, nie spuszczając z niego oczów, słuchał go z uwagą wielką; Filip w głowie szukał tematu do opozycyi i znaléźć go nie mógł. Po pauzie dodał z wysiłkiem:

– Najmędrsza pono rzecz głowy sobie nie łamać nad zagadkami, życie brać, jak Francuzi powiadają, *au jour le jour*, i iść spokojnie drogą, którą nas fatalizmy praw nam nieznanych prowadzą.

– Tak, byłoby to doskonałém – począł Wiktor – gdyby każdy wykształcony, a sądzę że nawet każdy człowiek wogóle, nie miał w sobie dwóch ludzi. Jest-to osobliwy fenomen, nad którym się mało zastanawiano. Jeden z nas idzie z tym prądem, któremu się oprzéć nie może; drugi patrzy, zżyma się, krytykuje, radby sobie wytłumaczyć dokąd on sam chce iść, a dokąd prądy go pędzą. Jeden jest ciągłą afirmacyą życia, drugi negacyą jego. W każdym człowieku odbywa się, mniéj lub więcéj wyraźnie, walka tych dwóch prawie nieprzyjaznych potęg nieznanych.

Dla hrabiego Filipa nieco dziwaczne, ale niezwyczajne postrzeżenie Wiktora już było zagłębokiém i zaniespodziéwaném, aby na nie mógł dorywczo odpowiedzieć. Zaciął usta, na wszelki wypadek nadając im wyraz ironiczny. Hrabia August, dotąd milczący, spojrzał z niejakiém zdziwieniem na mówiącego i przysunął się do stolika.

– Jeżeli nie ciągle objawiają się te dwie siły – odezwał

się – fenomen ten przynajmniéj zdarza się bardzo często w ludziach myślących. Psychologowie tłumaczą go dwiema władzami jednego ducha, płynącemi ze wspólnego źródła. Wszakże w jednéj machinie elektrycznéj dwa przeciwne téż powstają prądy. Dlaczegóżby z duszy jednéj nie mogły płynąć dwa strumienie, których przeznaczeniem stworzyć ruch i życie, a potém się zlać znowu?

– Tylko że w nas one nie zléwają się nigdy – odparł Wiktor.

– Dopókiśmy żywi – rzekł hrabia August. – Charakterem życia wszelkiego jest nieustanne rodzenie sprzeczności, jednanie ich i tworzenie nowych.

– Więc słowo zagadki i synteza wszystkich sprzeczności byłyby po za życiem naszém? – wtrącił Wiktor.

– I tak jest niewątpliwie – odparł żywo hrabia August. – Nietylko jeden człowiek jest ułamkiem, ale narody są także ułamkami i cała dopiéro ludzkość skończona, gdy z niéj nic nie zostanie, oprócz dziejów jéj ducha, wypisze na ostatniéj mogile wielkie słowo swéj zagadki.

– Strasznie to smutne i upokarzające dla ułamków! – westchnął hrabia Filip.

– Smutne dla tych, co koniecznie chcą być czémś więcéj niż są: jednostkami odrębnemi i niezawisłemi, któremi my nie jesteśmy – ciągnął hrabia August. – Niestety! trzeba się wyrzec dumnéj samoistności!

– Puściliśmy się na bezdroża – przerwał Filip. – Ostrożnie… jama! Wpadniemy w nią!

– Wolno ci nie iść za nami, jeśli się lękasz – natrącił z trochą niecierpliwości hr. August, który tak się ożywił, iż nagle stał się jakby innym człowiekiem, znalazłszy sympatycznego sobie do rozmowy. Zwrócił się cały ku niemu, wyzywając go i przysłuchując mu się z uwagą. Wiktor także wolał słuchać i hrabia August ciągnął sam daléj:

– Każdy z nas ma w sobie jakąś cząstkę ogólnego ducha ludzkości, pożyczoną na czas pewien. Wraca on potém do ogólnéj skarbnicy. Jesteśmy ułamkami wielkiéj całości, od któréj się nam oderwać niepodobna, czémś nakształ kropel wody, które się odrywają w postaci kulek na chwilę, lecz muszą się rozpłynąć późniéj, albo w parę przemienić. Wszystko w nas pożyczone od matki, z któréj łona wychodzimy. Dziécię nowonarodzone na miękkiéj tkance mózgu przynosi już wyciśnięte macierzyńskich myśli zarody, które się w niém rozwijać mają. Zowią się one instynktami. Późniéj w życiu, ucząc się, czerpiemy ze skarbnicy ogólnéj doświadczeń, które uzbiérały pokolenia… Szczęśliwy, kto temi na dzień jego pracy danemi mu narzędziami i materyałem cóś mającego wartość stworzy. Najgenialniejszy twórca pół swego geniuszu bierze z mniéjwięcéj wyposażonéj kolébki.

– Uczysz nas, hrabio, pokory! – odparł hrabia Filip kwaśno.

Wiktor patrzył na stół, nie śpiesząc z odpowiedzią; parę razy rzucił okiem na hrabiego Augusta, który wcale do siebie nie był podobny. Zdawał się przetworzony, ożywiony, zelektryzowany. Nie zważając na hr. Filipa, mówił daléj:

– Tylko taką cząstką się pojmując, człowiek samego siebie, a nawet historyą, dzieje narodów pojedynczych zrozumieć może nieco lepiéj. Odcięty od ogółu człowiek, od ludzkości naród, wzięty sam w sobie, niezrozumiałym się staje. Inaczéj Opatrzność względem obojga wydałaby się niesprawiedliwą.

Mówiąc to, hrabia August zwracał się ciągle do siedzącego z coraz smutniejszą twarzą artysty, jakby pragnął z ust jego wywołać odpowiedź. Wiktor palcem rysował cóś po stoliku.

– Tak jest – odezwał się wkońcu – masz hrabia słuszność. Słowo zagadki leży po za tym światem, jest w ręku śmierci. Nam pozostaje w naszych pragnieniach absolutnéj wiedzy rezygnacya dzieci, które się napiérały gwiazdki z nieba.

– Smutne to, smutne, smutne! – zamruczał z przybraną powagą hr. Filip.

– Ja – wtrącił hr. August – znajduję to więcéj podniecającém, drażniącém, niż smutném. Gdybyśmy mieli słowo zagadki, życie stałoby się niemożliwém. Kucharki tylko idą do wróżbiarek, aby się koniecznie swéj przyszłości dowiedzieć, aby im prędzéj obrzydła. Nam dano do przebiegnienia drogę tajemniczą, która nęci tém, że cel jéj ciągle się nam z przed oczu usuwa. U celu znajdziemy spoczynek.

– Hrabia więc jesteś optymistą – odezwał się artysta – czego mu winszuję najmocniéj, gdyż właśnie myśl ludzka pochyla się na przeciwną stronę i nauka robi co może, aby nam zatruć życie.

Hrabia August ruszył ramionami.

– Optymizm mój nie osłania mnie od cierpienia –

westchnął. – Mieszka ono w tym drugim człowieku, który jest piérwszego sędzią. Jednakże lżej mi z tém, co pan zowiesz optymizmem, niżby z pesymizmem było. Pesymizm ma tę nielogiczność w sobie, że sam, rodząc się z inteligencyi, opiérając na rozumowaniu, istocie, z któréj wytrysnęła ta inteligencya, przypisuje bezrozum. Jak ateizm pozbawia stworzenie stworzyciela, tak pesymizm neguje źródło rozumu.

Zegary biły północ włoskim sposobem, nie tak jak nasze półzégarza (piątą czy czwartą godzinę po zachodzie). Hrabia August, który tak był ożywiony, jakby się długo jeszcze zabiérał bronić przekonań swoich, postrzegł że drzémiąca gospodyni, aby gości zmusić do ustąpienia, poczynała powoli gasić światła.

W oprawie drzwiczek do drugiéj izby wiodących ukazała się razem postać Pepity, w koszulce tylko i spódniczce, rękami ogorzałemi, wpół obnażonemi, wiążącéj bujne warkocze rozpuszczonych czarnych włosów. Wśród tego zajęcia, zwiastującego do snu przygotowanie, ziéwanie zmuszało ją jedną z rąk ciągle krzyżykiem przed ustami zakréślanym zagradzać drogę złemu duchowi, który, jak wiadomo, czyha na wargi otwarte i nieopatrzne dziéwczęta.

Ruszyli się wszyscy z miejsc.

Wiktor zdala życzył dobréj nocy dziéwczęciu, które wnet znikło, nałożył kapelusz na głowę bezpieczniéj, wziął kij i zabiérał się do wyjścia.

Hrabia August zbliżył się ku niemu z wyrazem życzliwości i uprzejmości, którą rzadko komu zwykł był okazywać.

– Bądźcobądź – odezwał się – ja stoję przy tém, że musiémy być dawno znajomi. Dopóki obaj jesteśmy w Rzymie, dlaczegóżbyśmy spotkać się i pogawędzić czasem nie mieli?

Wiktor uśmiéchnął się, zawahawszy z odpowiedzią.

– Bardzo wdzięczen jestem hrabiemu za to uprzejme wezwanie – rzekł wreszcie. – Zachodzi tylko ta przeszkoda, że, jak hrabia widzisz, ja zdziczałem. W towarzystwie, w którém się panowie nawykliście obracać, postać moja jest fatalnym dysonansem. Nieszczęśliwa powiérzchowność, którą mi nadało lenistwo, każe mnie posądzać, domyślać się we mnie jeśli nie zbiegłego opryszka z Abruzzów, to przynajmniéj czerwonego republikanina, spiskowca, Garibaldczyka, w najszczęśliwszym razie Cygana-artysty, nawykłego żyć w szynkowniach. Ja sam znam to do siebie i boleję nad własną fizyognomią; ale tak mi wygodnie w téj odzieży powszedniéj, w tym stroju zaniedbanym, pośród świata jak ja zabrukanego…

Hrabia August uśmiechnął się.

– Tak, to trochę lenistwa tylko…

– Nie trochę – przerwał Wiktor – ale najstraszniejsze rozleniwienie, tak, niestety! Pozbawia mnie ono wielu życia przyjemności, ale się stało nałogiem. Któż wié, może się zczasem potrafię zwyciężyć, a bardzo mi miło będzie zawsze spotkać hrabiego.

– Mieszkam sam jeden, w hotelu pod Minerwą – odezwał się hr. August.

– Numer jedenasty, o parę drzwi daléj – sługa pański – dodał,

nie chcąc być mniéj grzecznym, hrabia Filip.

– Ja zaś gnieżdżę się w domu prywatnym na Babuinie – odpowiedział Wiktor – niestety, pod obłokami na trzeciém piętrze, bo miéwam fantazyą psucia płócien, więc tam jest niby *studio* moje. – Rozśmiał się smutnie. – Ale, na Boga! – dodał gorąco – proszę mnie nie brać za artystę z powołania! Nie jestem nim, lecz tylko przez miłośnictwo sztuki przekomarzam się méj ukochanéj. Ani na pokaz, ani na sprzedaż nie maluję nic. Choruję na sztukę… Włochy, jak się zdaje, wyléczą mnie z téj słabości, ale to pewna, że gdy ozdrowieję… o! będę bardzo nieszczęśliwy.

I znowu sam rozśmiał się z siebie. Hrabia August podał mu rękę, poszedł za jego przykładem i Filip, pan Wiktor zaś, zamachnąwszy kijem, wybiegł i znikł im w ciemnościach.

Dwaj towarzysze powolniejszym krokiem wyszli z kawiarni, którą stara i roztyła, brzydka, łysa matka pięknéj Pepity zamykała coprędzéj za nimi.

– Człowiek wcale niepospolity i dla mnie sympatyczny – odezwał się hr. August.

– Choćbym rad zawsze zgodzić się na twoje zdanie – odparł Filip – na ten raz nie mogę. Sam on powiada że zdziczał, a mnie się zdaje, że chyba nigdy wielce oswojonym być nie mógł. Kawał awanturnika! Już to samo, że nazwisko nosi przybrane, a prawdziwego powiedzieć nie chce, dużo daje do myślenia. Ja takich ludzi wykolejonych nie lubię.

– Ani ja – odparł August – ale są wszędzie wyjątki, a ten właśnie zdaje mi się do nich należéć.

– Komedyant! – rzekł pogardliwie Filip. – Zresztą zobaczymy! Życzę tylko, abyśmy na kieszeniach swoich nie doznali skutków sympatyi dla tego pana.

August zaprotestował. Zamilkli.

Księżna Teresa oddawna mieszkała w Rzymie, chociaż często z niego robiła wycieczki, czasem trwające miesiącami. Jedynemu synowi swemu, zaledwie pełnoletniemu, oddawszy majątek cały, pozostawiwszy sobie tylko (znaczne, jak głoszono) kapitały, któremi sama rozporządzała – była zupełnie swobodną. Pensyi, którą syn, równie do niéj przywiązany jak ona do niego, upiérał się jéj wypłacać, nie chciała przyjmować, odkładając to, jak mówiła sama, do czasu gdy wszystko co ma utraci. W pełni sił i zdrowia, księżna przy swym charakterze miłym, temperamencie na oko łagodnym, nie doznawszy w życiu nic, coby albo zbytnie po sobie żale, lub nieprzyjemne zostawiło wspomnienia – powszechnie była uważaną za bardzo szczęśliwą istotę.

Wiele osób jéj zazdrościło, a gdy która z pań przyznawała się do tego, ona oczy spuszczała, uśmiéchała się i potwierdzała przypuszczenie.

– Ale bo ja wistocie bardzo jestem, jak na mój stan wdowi, szczęśliwą – powiadała. – Pan Bóg mi dał dobrego syna, mam więcéj niż potrzebuję do życia, jestem swobodną i niezwiązaną niczém.

I tuż za uśmiéchem przychodziło, jakby mimowolne,

westchnienie.

Rzeczywiście księżna należała do tych istot, których życie czynne zaprędko się skończyło. Owdowiała młodą, syn jéj dorósł, gdy ona nie miała jeszcze czasu postarzéć. Wcale jeszcze świéża i piękna, życia pełna, z sercem kochać potrzebującém, znalazła się osamotnioną, jakby już w oczekiwaniu końca, który tak prędko przyjść się nie obiecywał.

Zapełniała tę próżnię życia jak mogła: czytaniem, miłośnictwem sztuki, podróżami, wszystkiemi przyzwoitemi rozrywkami, które dają mocniéj jeszcze może uczuć czczość i brak celu resztek pozostałych żywota.

Próbowano ją zagrzać do wielkiéj pobożności; lecz księżna, choć religijnego ducha i w spełnianiu obowiązków gorliwa, nie dała się opanować i oparła nawracaniu, znajdując że nigdy odwróconą nie była.

Powierzchowność miała ujmującą wielce, była świéżą i blasku dawnéj piękności nie straciwszy, spoważniała tylko. Słynęła jako bardzo bogata, choć nikt nie wiedział dokładnie czém rozporządzała; celowała inteligencyą, wykształceniem, niejeden więc ze starszych i młodszych panów, spotykających się z nią w towarzystwach, lub bywających w gościnnym jéj domu, skusił się o zdobycie serca, którego pustki się domyślał.

Kilka podobnych prób nieszczęśliwych, żartobliwie, grzecznie, wesoło w samych ich pierwocinach księżna odtrąciła tak stanowczo, iż wkońcu ludzie sobie powiedzieć musieli, że wistocie za mąż iść wcale nie myśli, a innych stosunków zawiérać

nie życzy. Przyjęto to z niedowierzaniem, ale nikt już nie śmiał płocho narazić się na próżne zabiegi.

W humorze księżny Teresy nie widać téż było zwykle, aby za czém tęskniła. Swobodna, wesoła, zawsze umiejąca sobie wyszukać jakiegoś zajęcia, życie zapełniając cudownie, tworząc sobie coraz nowe zabawki niewinne, do których się namiętnie przywiązywała – księżna nosiła z sobą dobry humor, ożywiała towarzystwo, do którego weszła.

Nowa książka, gdy o niéj mówiono wiele, pochłaniała ją na czas jakiś; nowy obraz, wystawiony posąg, wiadomość o wypadku mającym znaczenie i zwiastującym następstwa ważne w otaczającym świecie, prawie ją rozgorączkowywały. Tak samo bywało z ludźmi nowymi, których starała się poznać, zbliżyć do nich, zbadać, spoufalić z nimi. Pociągały ją zarówno wielkie głowy, imiona rozgłośne, jak postacie ekscentryczne, zagadkowe, niepowszednie.

Dlatego téż, gdy po odejściu dwóch hrabiów i wysunięciu się z pokoju pana Ferdynanda, została na chwilę sama z gospodynią, nie mogła się księżna wstrzymać od wykrzyknika:

– Niezmiernie jestem ciekawą tego człowieka!

Pani Liza, wystyglejsza pod tym względem, lub przynajmniéj niechcąca zdradzić swéj ciekawości, odpowiedziała lekkiém ramion ruszeniem.

– Na mnie on zrobił wrażenie takie, żem się ulękła – rzekła. – Nie jestem nawet ciekawą, bo czytam historyą biédaka z jego twarzy i stroju. Jest-to jakaś ruina, ofiara losu,

temperamentu, charakteru, a może… któż wie?… nałogu… Cynizm powierzchowności przeraził mnie.

– A! wierz mi – odparła księżna Teresa, – po za tém, czém on dziś jest, czuć jednak przeszłość jakąś, niechybnie lepszą, świetniejszą. Masz słuszność co do upadku; ale bądźmy miłosierne, nie obwiniajmy naślepo człowieka. Kto wié jaki w tym udział miały losy.

– Losy! – odparła Liza. – Powinien był walczyć z niemi. Mężczyzna!

Powiedziała to sucho jakoś i zimno.

– Może téż walczył i został zwyciężony – dodała księżna. – Ja lituję się zawsze, nawet nad winnymi. Czyż i występek nie godzien politowania?

Gospodyni, spuściwszy oczy, milczała.

– Nazwisko Gorajski – ciągnęła daléj księżna – nie mówi nic. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, czym je kiedy słyszała. Jestem ciekawą, tak nieprzyzwoicie ciekawą, przyznaję się, że, Boże odpuść! gdybym go znowu gdzie spotkała rysującego, gotowam się przyczepić i zaprosić…

– Ty-bo, moja droga księżno – przerwała Liza – nadto doprawdy jesteś pobłażającą, a bardzo nieostrożną, pomimo wielu smutnych doświadczeń. Niech sobie księżna przypomni tego, który tak zawiódł jéj miłosierdzie nad sobą, i tego…

– Proszęż cię – śmiejąc się, przerwała księżna – dajże pokój tym wspomnieniom! Któż się w życiu nie zawodził? Wprawdzie smutno mi było trochę potém, ale wprzód mnie to bawiło.

– A! kochana księżno – dodała p. Liza – ja się często mylę w sądach; ale ten… ten dzisiejszy nasz pan, jako człowiek straszy mnie, a jako artysta należy pewnie do tych, co ślicznie mówią o sztuce, a okropne bazgrzą rzeczy… Będziesz potém musiała swą ciekawość opłacać nabywaniem krut…

– Chociażby – odparła księżna Teresa. – Jeżeli pięknie mówi o sztuce, nie żal już krut jego nabywać.

To mówiąc, księżna do wyjścia i pożegnania się zabrała.

Rozstały się dwie przyjaciółki, wzajemnie śmiejąc z siebie: Liza z łatwowierności, księżna z jéj strachu. Księżna odeszła nienawrócona, zajęta tajemniczém zjawiskiem, z mocném postanowieniem zaproszenia do siebie p. Wiktora przy piérwszéj sposobności.

Ponieważ razy kilka widziała go około Colosseum, na Campo Vaccino, na Via Appia, postanowiła sobie zwiédzać te miejsca pokolei, w godzinach w których rysować można, dopókiby szczęśliwy traf nie nastręczył jéj spotkania.

Nazajutrz, zszedłszy się przypadkiem z hr. Augustem w Museo Pio Clementino, nie wytrzymała księżna, by go nie zagadnęła o nieznajomego. Hrabia, który był także pod dziwnym urokiem ekscentrycznéj téj figury, opowiadaniem o nocnéj rozmowie z nim ciekawość księżny rozbudził i spotęgował do najwyższego stopnia.

– Nie wiem – rzekł hrabia wkońcu – być może iż człowiek to upadły, jak sam powiada, zwichnięty, ale zdolny, wykształcony i wcale niepowszedni. Gdy się jemu podobnych spotyka,

obowiązkiem jest raczéj rękę im wyciągać, niż ich odpychać.

Niezmiernie uradowana księżna, posłyszawszy to zdanie, gorąco uścisnęła dłoń mówiącego.

– A tak! – zawołała – tak! Szczęśliwa jestem, że choć wy trzymacie ze mną. Wczoraj kłóciłam się o to z Lizą, która mi chciała wmówić, że moja chęć bliższego poznania tego człowieka jest jakąś fantazyą niebezpieczną.

Hrabia August się uśmiéchnął.

– Niebezpieczną? – podchwycił ironicznie.

– A! źle to rozumiész – odparła księżna, rumieniąc się nieco. – Liza widzi tylko niebezpieczeństwo dla kieszeni, ale… bodajby!

– Znam nieco ludzi – odezwał się hrabia – i przekonany jestem, że tego niebezpieczeństwa wcale się obawiać nie można.

– Nieprawdaż? – powtórzyła radośnie księżna Teresa. – Więc chociaż wy trzymacie ze mną?

Hrabia się skłonił.

– Osobliwa rzecz – dodał – mogę się pochlubić pamięcią ludzi, a jestem przekonany, że tego pana kędyś w mém życiu spotkałem, tylko przypomnieć sobie nie umiem miejsca i stosunku. Sam on, gdym mu o tém napomknął, potwierdził to, ale zarazem dodał, iż objaśnić mnie nie potrafi, gdzie i jak to być mogło.

– Kiedy tak, to i ja się mogę przyznać – pocichu dodała księżna – że on na mnie także robi wrażenie dawnéj jakiéjś znajomości. Myślałam że to przywidzenie…

– Bądźcobądź – dokończył hr. August – ma dar przyciągania

ku sobie.

Rozmowę przerwało nadejście Angielek znajomych księżnie, które raz doświadczywszy jak dobrym była Ciceronem, przybiegły ją prosić, aby im pomogła do oglądania muzeum.

Uprzejma zawsze księżna wesoło zabrała się im towarzyszyć.

Od tego dnia jedno miała na myśli: pochwycić gdzieś koniecznie nieznajomego tego jegomości i wciągnąć go do swego salonu.

W tym celu długo napróżno jeździła księżna rankami i wieczorami po Rzymie i okolicach. Zrobiła wycieczkę do Starych drzew w Olevano, do Tivoli, do ruin willi Adryana; chodziła około pałacu Cezarów i Colosseum, lecz nie mogła nigdzie spotkać owego pana Wiktora.

Zdawał się jakby naumyślnie uchodzić i ukrywać, unikając nowych stosunków. Nawet p. Ferdynand, którego księżna sobie zjednała na sprzymierzeńca, nie widywał go teraz nigdzie, a na Babuinie, gdzie mieszkał, trudno się było nawet o jego trzecie piętro i studio dowiedzieć.

Księżna, przypuszczając iż mógł z Rzymu dalszą jakąś przedsięwziąć wycieczkę, co w téj porze roku było bardzo naturalném, nie zaniechała jednak poszukiwań swoich.

Jednego dnia namówiła panią Lizę na wieczorną przejażdżkę do Villa d'Este. Ferdynand im sam jeden towarzyszył. Tu, chodząc po tym ogrodzie, niegdyś tak pięknym, dziś tak zaniedbanym, wcale niespodzianie, na mchem okrytéj marmurowéj ławce, księżna postrzegła swą zgubę. Wiktor

siedział z książką do szkicowania na kolanach, zapatrzony w stare, prześliczne cyprysy, które zdawał się chciéć studyować.

Pani Liza, udając że go nie poznaje, chciała coprędzéj pominąć, gdy księżna gwałtownie się naparła zaczepić artystę. Oprzéć się jéj nie było podobna. Pan Ferdynand ofiarował się za pośrednika; lecz księżna, przypuszczając że jest pod wpływem siostry i obawiając się aby nie popsuł sprawy, podziękowawszy mu, sama poszła odważnie przywitać p. Wiktora.

Od piérwszego owego widzenia ani strój, ani twarz, ani wyraz zagadkowéj postaci nie zmienił się wcale. Miał na sobie to samo lekkie ubranie, ten sam kapelusz i gruby kij, tylko obok niego leżał zwinięty pled podróżny. Zobaczywszy księżnę podchodzącą, Wiktor przestraszony zamknął coprędzéj książkę i z ławy się ruszył.

– Poznałam pana zdaleka – odezwała się, podchodząc, księżna. – Schwycony na uczynku, nie możesz się pan zaprzéć, że jesteś pejzażystą. Śliczne tu studya robić można. Ale w Rzymie wcale już pana nie widać.

Grzeczne to przywitanie, którego nie zdawał się spodziéwać artysta, trochę go zdumiało.

– Uciekłem z Rzymu, dla gorąca – rzekł – a co się tyczy moich studyów, niéma w nich nic, coby zasługiwało na tak poważne nazwanie. Rozrywam się, jak mogę. Gdy nie mam co czytać, próbuję psuć papiér.

Księżna stanęła trochę, badając go uważnie.

– Gdy książek brak – odezwała się – gdy i te studya zmęczą,

powinienbyś pan trochę się więcéj ludziom udzielać. Mając tu ziomków, nie godzi się o nich zapominać.

Był to prawie rodzaj grzecznego zaproszenia, które wywołało uśmiéch smutny na usta Wiktora. Zdawał się uszom własnym nie wierzyć.

– Ziomków? – powtórzył zcicha – ziomków?… Ależ to prawdziwy cud dzisiaj posłyszéć, aby się kto o znajomość i stosunki z ziomkami upominał. Gdzież dziś ziomkowie? Rozdziela nas tyle różnic przekonań, położeń, losów, że tytuł ziomka najczęściéj bywa postrachem. Znam ludzi, co posłyszawszy swą macierzystą mowę, uciekają przerażeni, szczególniéj jeśli ona z ust pieszego włóczęgi wychodzi. Niestety! – dodał – ci bojaźliwi mają bardzo często słuszność, bo między ziomkami za granicą spotykają się i gwiazdy piérwszorzędne i… smutne odpadki społeczeństwa. Jesteśmy dziś jak owe rozbitéj planety szczątki, jak aerolity i bolidy… gwiazdami lub kawałkami żelazistéj rudy…

Księżna zdawała się słuchać z przykrością i przerwała mu szybko.

– Nas tu teraz w Rzymie jest garstka mała bardzo, a ja mam tę wadę, że mnie nietylko gwiazdy, nietylko odpadki, ale nawet najzwyczajniejsze postacie, spokrewnione mową i wspomnieniami, mocno zajmują. Otóż – dodała weseléj, siląc się na pewną rubaszność kobiéty dobrego towarzystwa, która czuje prawa swoje – otóż, krótko a węzłowato: zobaczywszy tu pana, przyszłam umyślnie, aby mu powiedzieć że prawie

codzień wieczorem jestem w domu i że mi pan uczynisz wielką przyjemność, przychodząc na herbatę i rozmowę.

Wiktor skłonił się, tak zdumiony, że nie odpowiedział zrazu i cóś tylko niezrozumiałego przebąknął.

Księżna stała, uparcie nań patrząc.

– No, proszę bardzo, nie bądź pan dzikim; zrobisz mi przyjemność. Salon mój nie jest zbyt ceremonialnym. Towarzystwo znajdziesz pan toż samo, z małą odmianą, które spotkałeś u mojéj przyjaciółki Lizy.

– Niech księżna raczy wierzyć, że jestem jéj nad wyraz wdzięcznym – odezwał się Wiktor – bo to jest dowodem z jéj strony tak dobrego serca, a takiéj… nieopatrzności, któréj tylko szlachetniejsze serca i wyższe charaktery mogą się dopuścić. Stokroć księżnie dziękuję!

Księżna poruszyła ramionami.

– Pochwały – szepnęła – na które nie zasłużyłam.

– Owszem – podchwycił ośmielony Wiktor. – Ja łaskę jéj umiem ocenić. Mówiono mi to wielekroć, że wyglądam na bandytę, lub niedobrego gatunku artystę-awanturnika. W dodatku jestem ziomkiem, więc może biédnym wygnańcem, który rad czepiać się i wyzyskiwać. Nikt mnie nie zna! Trzeba heroicznéj odwagi i takiego serca…

– A! – przerwała, rumieniąc się, księżna – proszę, daj-że mi pan z tém pokój! Nic podobnego nie przypuszczam, a moje zaproszenie, moje natręctwo pochodzi poprostu z tych pustek w Rzymie i ciekawości córek Ewy. Zapraszam koniecznie!

Przyjdziesz pan?

Mówiła tak nakazująco, że się jéj oprzéć nie było podobna.

Wiktor się skłonił.

– Więc jutro czekam z herbatą, a dla ubezpieczenia pana dodam – rzekła, uśmiéchając się – że nie będziemy pana badali, męczyli; zostawimy mu swobodę jaknajwiększą.

Dokończywszy i nie przypuszczając już odmownéj odpowiedzi, księżna prędko poszła za Lizą i jéj bratem, który przy niéj pozostał. Widać ich było zdala, w uliczce oczekujących.

Wiktor, po odejściu jéj, siadł znowu na ławce, ale już do studyowania starych cyprysów nie powrócił.

Księżna zajmowała oddawna stary pałacyk jednéj z tych rodzin patrycyuszowskich, które, choć zubożałe, trzymają się jeszcze pozostałych im starych murów, bo do nich przywiązane są wspomnienia dawnéj wielkości. Żyją może nadzieją, że kiedyś odzyszczą świetność straconą.

Tymczasem w tych gmachach, których tyle się spotyka w ulicach Florencyi, Bolonii, Rzymu i pomniejszych miast włoskich, rodziny zubożałe wiodą życie bardzo skromne, tulą się gdzieś w kątkach, znaczniejszą część pałaców najmując cudzoziemcom.

Księżna miała całe piérwsze piętro wspaniałego niegdyś gmachu, z salami olbrzymiemi, z sufitami malowanemi al fresco, z obrazami w pośrodku, z posągami pootłukanemi u wnijścia. Dwór jéj cały składali: stara panna Kunegunda (Kunusią zwana), podobno daleka kuzynka nieboszczyka męża, do któréj księżna

przywykła bardzo i lubiła ją, stary kamerdyner z domu wzięty i dwoje sług przynajętych za granicą.

Wielki salon, w którym przyjmowała, umeblowany był po włosku, to jest opatrzony w sprzęt niezbędny, niegdyś wytworny i wspaniały, teraz już zszarzany i zestarzały. Na ścianach wisiały wizerunki margrabiowskiéj rodziny, do któréj pałac należał, i para olbrzymich krajobrazów, w fantastycznym stylu Salvatora Rosy, broniących się rozmiarami swemi od sprzedaży i losu współbraci, dawniéj Anglikom odstąpionych. W innych dwóch przyległych salonach mniejszych, księżna już się więcéj sama urządziła i rozgospodarowała. Tu wszystkie jéj upodobania, rozrywki, kaprysy łatwo można było poznać, widząc na ścianach nowe najrozmaitszéj wartości obrazki, posążki na kominach, książki porozrzucane po stolikach i kanapkach, obok kobiécych robótek i fraszek.

W salonie wielkim jeden tylko fortepian nowy starożytne umeblowanie odświéżał, odbijając swą formą i blaskiem od dawnych margrabiowskich sprzętów.

Szukająca zajęcia i rozrywek dla zapełnienia życia, księżna Teresa w mieszkaniu tylko jedném była nałogową i przywiązaną do znajomych kątów, choćby ją znudzić już były powinny. Stary pałac miał wiele niedogodności, najem jego podnoszono coraz; trzymała się jednak tych ciemnych sal, do których przywykła. Za nic ich zmieniać nie chciała.

Nazajutrz po powrocie z Villa d'Este, księżna pośpieszyła zawiadomić hr. Augusta, iż się zaproszonego spodziéwała artysty

(bo tak uparcie go zwano). Pominęłaby była może hr. Filipa, który, pomimo narzucania się towarzystwu, niebardzo był w niém lubiony; lecz.... byłby się czuł obrażonym. I jemu więc musiano oznajmić, że księżna dnia tego wieczorem będzie w domu.

O zwykłéj godzinie pani Eliza z bratem, hrabia August, a nawet czasem umyślnie opóźniający się hr. Filip, znajdowali się już u księżnéj, gdy kamerdyner drzwi otworzył i wpuścił gościa nowego. (Dodajmy dla charakterystyki, iż zrana, wedle ścisłéj obyczaju obserwacyi, księżna znalazła na stole u siebie kartę wizytową Wiktora Gorajskiego. Znaczyło to, że formy świata znał i umiał je poszanować).

Wielki salon słabo był oświécony, tak iż w piérwszéj chwili księżna wchodzącego nie poznała.

Był-to zaproszony Wiktor, ale w postaci tak nowéj, w tak zupełnéj metamorfozie, iż wszyscy obecni stanęli na chwilę niemal przestraszeni.

Śladu na nim nie pozostało owego zdziczałego człowieka. Ubrany wedle najściślejszych wymagań salonowych, w czarnym fraku, w rękawiczkach jasnych, z kapeluszem w ręku, w lakierowanych bucikach, z brodą i włosami w porządku, był jakby nowym, nieznanym człowiekiem. Fizyognomia tylko jego nie postradała wyrazu tego artystyczno-cygańskiego, który ją dawniéj odznaczał, ale wśród innych akcesoryów, wydawała się więcéj oryginalną, niż dziką.

Ubranie nie zdawało mu się ciężyć i ściskać go, jak zwykle

pęta ludzi, którzy je rzadko wkładają i noszą niechętnie. Ruchy miał swobodne, w salonie zdawał się jak u siebie.

Hrabia Filip był jednym z tych, których ta przemiana może najmocniéj zdumiała. Pani Eliza, którą za piérwszém zjawieniem się w jéj salonie Wiktor nastraszył, niemniéj może się teraz ulękła tak zupełnéj metamorfozy. To kameleoństwo zagadkowe, dziwacznego niby-artysty, niby-człowieka do towarzystwa należącego, podwoiło przestrach i ciekawość. Z większém niż wprzód, niespokojném zajęciem zaczęła mu się przypatrywać zdaleka.

Nie ulegało już wątpliwości, że człowiek ten jakiémś prawem jeżeli nie należał do wyższych sfer społecznych, to się w nich musiał obracać często, i że się z nich dobrowolnie wyłamał, gdy stały się dlań uciążliwemi lub wstrętnemi. Pani Liza widziała w nim niebezpiecznego może wroga tych, od których uciekał, ale nęcił ją tajemniczością swoją.

Po przelotnéj chwilce zdumienia, księżna przywitała przybywającego, starając się nie dać mu poznać, iż ją ta przemiana zdziwiła.

Hrabia August, dla którego, od piérwszego wejrzenia, miał jakiś urok ten człowiek zagadkowy, zbliżył się zaraz ku niemu, a za nim, jak zawsze, pośpieszył hr. Filip.

Księżna rzuciła słówko o willi d'Este, a hr. Filip ze złośliwością, z którą się lubił popisywać, gdy mowa zeszła na studya, wtrącił umyślnie słówko o pięknéj Pepicie, jako przedmiocie studyów także bardzo dojmującym.

Wiktor, nie dając się tém zmieszać, uśmiéchnął się dobrodusznie.

– A! – odezwał się – to właśnie dla artystów wogóle stanowi wielki urok téj włoskiéj ziemi, że tu, może tylko tu, znajdują oni najcudniejsze, niespodziane modele, które zdają się żywém potomstwem greckiéj sztuki. Tu jeszcze owi bogowie i boginie chodzą po ziemi, tu spotykać można młodych Satyrów, Heby, Psychy i Junony. Na wyspie Capri potomkowie dawnych kolonistów Hellady osłupiają czasem pięknością swoją. Każdy myślący artysta staje tam wobec nierozwikłanéj zagadki. Te cuda piękności noszą w sobie dusze tak uśpione, tak pospolite, tak prozaiczne; te Psychy bywają często tak ograniczone, dziecinne, nawet zepsute, iż chce się spytać natury, co ta jéj piękność znaczy? Czemu powłoka nie odpowiada duchowi? dlaczego ci bogowie i boginie kłamią, gdy są poprostu ledwie rozbudzonemi ze snu pośledniich istot… zwierzętami?

Wiktor wypowiedział to postrzeżenie swoje tak jakoś naturalnie, iż nikogo nie uderzyło wprowadzenie rozmowy na przedmiot wcale niezwyczajny.

– Ta Pepita – dodał – którą hrabia widziałeś wczora, jest ślicznym wzorem, jakby zrodzonym szczególniéj dla rzeźbiarza, dla malarza nawet, a wkońcu i dla poety… Zaklęta w kamień, przeniesiona na płótno, wyśpiéwana w naiwnych strofach, mogłaby się wydawać ideałem. Spróbuj-że jednak hrabia pomówić z tą jaśniejącą blaskiem młodości i wdzięku istotą, a znajdziesz w niéj rozpaczliwie pospolite stworzenie,

roztrzepane, chciwe najdziecinniejszych uciech, zabobonne, złośliwe czasem. Oczy jéj mówią często, prawie zawsze, zupełnie co innego niż usta… Zdaje się jakby duch jakiś szyderca zakradł się w formy zapożyczone.

– Cóż tu natura winna? – odparł hrabia August powoli. – Ona stworzyła doskonałe narzędzie, na którém śpiąca dusza grać nie umié. Téj doskonałéj harmonii ciała i ducha, któréj pan wymagasz od ludzi, nie spotykamy nigdy prawie w życiu. Kilkaset lat czeka świat na Beatryczę Dantego, na Laurę, na Vittorią…

– Człowiek wogóle – dodała księżna – jest istotą ułomną i rzadko może w sobie wszystkie siły i władze wyrobić do równéj doskonałości. Ideałów lub istot zbliżających się do nich niéma na świécie.

– Teraźniejsza nauka i teorya sztuki zrzeka się nawet gonienia za niemi i marzenia o nich – rzekł hrabia Filip.

– Jest-to chwilowa protestacya tylko przeciwko fałszywemu ideałów pojmowaniu, nic więcéj – odezwał się August. – Niemniéj wyzucie się zupełne z ideału uważam za szkodliwe. Człowiek, który nie ma go przed sobą i nie stara się nim stać, z konieczności upada nizko.

– Ja zaś znajduję – wtrącił hrabia Filip – że lepiéj wcale nie marzyć o tém co niedoścignione, a ograniczyć się na…

– Na *fruges consumere nati* – podszepnął hrabia August.

Rozmowa się nieco przerwała, bo milczenie p. Elizy zdało się gospodyni oznaką, iż zboczono odrazu w strefy, w które

niewszyscy puszczać się byli gotowi.

Właśnie też wejście gościa nowego wywiodło wszystkich z trochę kłopotliwego szukania treści do ogólnéj rozmowy.

Przybyły był jednym z tych biédaków, których księżna umiała wszędzie wyszukiwać i gromadzić około siebie. Był to malarz-poeta, człowiek już niebardzo młody, od lat wielu błąkający się po Włoszech i po Francyi, który sztuki dopiéro, za granicą się w niéj rozmiłowawszy, uczyć się począł – jeden z tych, o których wspominała pani Eliza, co mówią pięknie o sztuce, a stworzyć nic nie umieją. W wielu rzeczach miał pojęcia bardzo trafne, czuł piękno, umiał je ocenić, teoretycznie tworzył obrazy zachwycające; ale gdy się wziął do wykonania, był najstraszliwszym bazgraczem.

Szkic bywał czasem genialny, lecz dzieło prawie zawsze poczwarne. Nieszczęściem sam do siebie nie czuł tego, miał się za niepoznanego wieszcza i malarza… przyszłości.

Wpływ jakiś nieszczęśliwy ludzi otaczających, epoki, temperamentu może, uczynił go olbrzymio zarozumiałym.

Miał się za geniusz, a warunkiem genialności dla niego była ciemność, równoważna w przekonaniu jego z głębokością.

Dla ludzi chłodnych był poprostu śmiésznym, karykaturą geniuszu; dla współczujących godnym niezmiernéj litości, zbłąkanym biédakiem. Ołówkiem i penzlem nie mogąc nastarczyć wielkiemu duchowi, jaki w sobie nosił, pan Emil Maria Otoski (tak się zwał) stał się zarazem poetą, równie dziwacznym, niezrozumiałym, wymuszonym, jak był malarzem.

Poezya nawet przeważała w nim teraz.

Emil Maria nigdy nie chciał być naturalnym, sobą samym; pamiętał o tém, że nosił w sobie wieszcza; szanował wielkość swą, występował tak zawsze, jakby go na chwilę nie opuszczało natchnienie. Kapłanem był od rana do nocy.

Powierzchowność człowieka nie dałaby się łatwo domyślać geniuszu, gdyby Emil Maria nie pomniał cięgle o tém kim jest, co na téj ziemi, wśród pospolitych tłumów, przedstawiać powinien.

Człowiek był już lat może cztérdziestu kilku, trochę łysy, dość słusznego wzrostu, przygarbiony nieco, zaniedbany w ubraniu, jak przystało poecie i artyście. Powierzchowność zdradzała źle pokrywane ubóstwo; na twarzy, rysów dość pospolitych, wybitne było i poczucie swéj wielkości i cóś, co znamionuje istotną wyższość inteligencyi. Oblicze miał zmęczone widocznie tém nieustanném czuwaniem nad sobą, obmyśliwaniem każdego ruchu, szukaniem słowa i miny, strojeniem się naprzemiany w zapały na zimno i ironią dla kontrastu. Wkońcu jednak nawyknienie stało się naturą: wyglądał na starego komedyanta, który już i w salonie przestać nim być nie może.

Był-to poeta i geniusz z tych czasów Byrona i Shelleya, gdy wielcy ludzie musieli dziwaczyć, wybuchać, by się u tłumu dorobić uznania ducha co w nich mieszkał i nigdy im nie dawał spokoju. Niewolno im było ani na chwilę prostymi śmiertelnikami pozostać. Emil Maria był téż nieznośnie, zawsze i wszędzie geniuszem.

Czy otaczający uznawali go, czy nie, nie spuszczał z tonu;

niekiedy tylko, spotykając się z niedowiarstwem i ironią, wybuchał gniewem wielkim, zrywając z ateuszami. Na tych już poczciwéj nie zostawiał nitki.

Księżna, zobaczywszy go wchodzącego, na jedno oka mgnienie okazała pewną niecierpliwość i zakłopotanie. Gość ten przychodził jéj nie w porę; ale nadzwyczajna dobroć i uprzejmość dla wszystkich, a litość nad biédnym monomanem, wnet jéj twarz rozjaśniły.

Emil podszedł ku gospodyni, jak człowiek przekonany, iż uszczęśliwia każdy dom, w którym ukazać się raczy. Z pewnym rodzajem poufałości, uszanowania pełnéj, pocałował ją w rękę, skłonił się wszystkim zdala i zabrał miejsce, dając czuć, że on tu teraz musi się stać figurą główną, ogniskiem, mistrzem, z prawa swojego geniuszu.

Dosyć obojętnym wzrokiem przebiegając salon i starając się wobec tytułów, jakie tu spotykał, swojego się nie wyrzekać i nie dać o nim zapomnieć – poeta spostrzegł nagle Wiktora, który przypatrywał mu się z uśmiéchem jakimś dwuznacznym. Okazał na widok téj postaci nowéj niezmierne zdumienie. Niepokoiła go.

Jak gdyby sądził że się omylił może przy piérwszém rekognoskowaniu, wlepił oczy w nieznajomego, zapominając nawet odpowiedzieć na zapytanie gospodyni. Księżna, z cechującą ją łagodnością, powtórzyła je, a poeta wtedy dopiéro, jak rozbudzony, zwrócił się ku niéj, wyrzekając się na chwilę rozpoczętego badania.

– Cóżeś pan porabiał przez tych dni kilka, gdy nigdzie go widać nie było? – mówiła księżna.

– Sam nie wiem, trudno się z tego wyspowiadać – odparł powolnie, patetycznie Emil. – Są w życiu dnie, gdy się traci czasu rozmiary, poczucie rzeczywistości; są chwile ekstazy, niby godziny chaosu poprzedzającego kreacyą. Same te znowu momenta poprzedza często pokuta ducha na pustyni, w pół-śnie, pół-jawie, post myśli, maceracya uczuć, senność samopoznania, zdrętwienie naszego ja… nie wiem!

Podniósł oczy kugórze i westchnął, nie dopowiedziawszy reszty, aby ją sobie dośpiéwali w duszy słuchacze. Milczeli wszyscy, bo nie było co odpowiadać na ten wykrzyk mistyczny.

Litościwa księżna po chwili spytała, aby przykrą przerwać ciszę:

– Malowałeś pan co?

– Ja, malować? – zawołał ironicznie. – Ja połamałem penzle, podarłem płótna… Napróżno! nie mam tego daru prawienia rzeczy oklepanych językiem zużytym, a jedynie zrozumiałym tłumom; aby być ocenionym i pojętym, trzeba być płaskim, trywialnym, pospolitym. Tego nie umiem, to nie moja rzecz! Być zaś głosem wołającego do głazów, wkońcu zabija. Godzina moja wybiła!… Niezrozumiany, zrezygnowany zstąpię do grobu.

Mówił to, deklamując niedobrze, pomagając sobie ruchami rąk, głosem to krzykliwym do zbytku, to do szeptu zniżonym; ale z oczów iskry się sypały.

Hrabia Filip, któremu najtrudniéj było wytrzymać, poszedł

się ukryć w cieniu, aby nie postrzeżono że się uśmiéchał. Reszta towarzystwa zachowała się przyzwoicie.

Księżna patrzyła na stół; Wiktor, znalazłszy album jakieś pod ręką, począł je zwolna przeziérać. Na twarzy jego widać było boleść i smutek… wrażenie jakiegoby doznał litościwy człowiek, widząc chorego, obnażającego ranę zaognioną, a zastarzałą.

Zaledwie dokończywszy tę znaną już księżnie z rozmaitemi jéj waryantami elegią, Emil Maria pochylił się ku niéj i spytał cicho:

– Mościa księżno (tu wskazał na zatopionego w albumie), co to za człowiek?

Odpowiedź była nader trudna, gdyż wistocie nikt nie wiedział jeszcze, czém był ten *homo novus* w salonie. Księżna więc ograniczyła się szepnięciem nazwiska.

Poeta ruszył ramionami.

– Twarz tę, jéj cień, podobiznę, cóś z nią krewnego spotykałem – rzekł – nie wiem, na tym, czy na innym świecie. Jest mi znaną.

Hrabia August, który nad dawniéj sobie już znanym Emilem czuł rodzaj politowania, a chciał razem przyjść w pomoc księżnie, przysiadł się do niego.

Widocznie dręczony tą nową postacią, w któréj może obawiał się rywala, poeta pochylił się do hrabiego i szepnął, wskazując na Wiktora:

– Poeta? artysta? obywatel? wygnaniec? Kto to jest?

– Nie wiem – odparł hrabia. – Jest-to znajomość nowa, może

dyletant.

Z obrzydzeniem razem i politowaniem Emil, usłyszawszy tę kwalifikacyą, ruszył ramionami. Nic dlań wstrętliwszém być nie mogło, od dyletanta, może dlatego, iż w duszy sam poczuwał się, że niczém inném nie był. W sztuce zaledwie się nawet dyletantem mógł nazywać; jako poeta, miał tylko nigdy niemogące się ziścić marzenia, tworzył obłamki, co się z sobą nie zrastały. Czasem było w nich parę wiérszy, błysk talentu rzeczywistego, jaskrawy, przesadnością zepsuty, przybrany dziwacznie; ale natychmiast po nim następowała powódź bredni, w których język brany był na tortury, aby, stając się niezrozumiałym, wydawał genialnym.

– Tego człowieka ja gdzieś widziałem – szepnął poeta hrabiemu.

– Pewnie na ulicy, jak my wszyscy – rzekł hrabia.

– Być może. Ale tu w salonie wydaje mi się jakby był przebrany. Niech hrabia przy sposobności raczy nas poznajomić z sobą.

Przejść miano do mniejszego salonu, na małą collazione i herbatę, nadarzyła się więc rychło żądana sposobność. Hrabia zapoznał z sobą dwóch panów.

Bardzo chłodno przyjął poetę Wiktor; na chwilę jednak pozostali z sobą.

– Ja pana gdzieś widywałem – rzekł niespokojnie Emil Maria.

– Bardzo prawdopodobnie – odezwał się Wiktor. – Włóczę się wiele, a oddawna jestem w Rzymie i wszędzie mnie pełno.

– Artysta?

– *Quod Deus avertat*!

– Więc cóż?

– Nic, człowiek zwichnięty, jak my wszyscy potrosze – rzekł Wiktor.

– Wszyscy, wszyscy zwichnięci?!

– Wygnańcy stają się takimi, prędzéj lub późniéj.

– Pan tak sądzi? – począł poeta, trochę zmieszany, i po małym przestanku dodał: – Pan sądzi że wygnanie zwicha? Ja owszem myślę, że gnanie i wygnanie potęguje siły, egzaltuje… Mickiewicz nigdyby się nie podniósł do takiéj wyżyny, gdyby nie ten chléb gorzki i nie te schody, o których mówi Dante....

– Dante? – podchwycił Wiktor. – Nie zapominaj pan, że znaczniejsza część wygnania Dantego była wypędzeniem z Florencyi do Wenecyi, do Pizy, do Rzymu, to jest jakby z Warszawy do Siedlec, do Kalisza lub Poznania. To wcale co innego. Nie brzmiała mu w uszach piękna, melodyjna mowa toskańska, ale włoskiego słuchał języka. Inaczéj jest z nami, wśród innych narodów, jak szczygły między wróblami, lub wróble wśród śmieciuch. Tu tracimy swą indywidualność, innéj przyoblec nie mogąc. Dość słuchania i posługiwania się obcą mową, aby umysł przez nią zwichnął się i wypaczył.

Poeta popatrzył trwożliwie, nie odpowiedział nic i siadł milczący.

Przybycie jego, dla wszystkich dosyć niewygodne, najprzykrzejszém może było dla p. Lizy. Geniusz od niejakiego czasu zaszczycał ją jawną swą adoracyą. Nietajno było nikomu,

iż się w niéj zakochał, a że nic dla siebie za zbyt wysokie i niedostępne nie miał, łudził się nadzieją, iż pozyszcze serce tego anioła męczennicy. Być może iż po za tém marzeniem stała i perspektywa małżeństwa, a nawet wszystkie szczęśliwe następstwa zmiany towarzyskiego położenia.

Wistocie biédaczysko potrzebował bardzo, aby się w nim zakochała jaka bogata dziedziczka, nie miał bowiem nic a nic, oprócz geniuszu, a żył z téj manny, którą mu zsyłała Opatrzność. Płacono mu za szkice, za obrazki, za różne robótki przez miłość raczéj bliźniego, niż sztuki, i chowano potém starannie te twory, aby ich ludzkie nie oglądało oko. Były między niemi i udatne, i poczwarne i tak zagadkowe, że nikt nie wiedział, jaką myśl niemi oplątał.

Miał Emil Maria szczęście raczéj niż talent pozbywania się płodów swego ołówka, penzla i pióra duszom litościwym, umysłom ciekawym, choć nie napraszał się z niemi. Zbyt na to był dumny. Nadzwyczaj wielką przywiązując do nich wartość, ceniąc olbrzymio to co się w nim zrodziło, zdawał się czynić łaskę, gdy przyjaciołom te arcydzieła odstępował.

Umiał jakoś, gdy już blizkim był niedostatku, który znosił mężnie i stoicko, trafić zawsze na kogoś, co go z delikatnością wielką prosił o jedno z tych niejasnych, komentarza potrzebujących, ale genialnych płodów ducha.

I tak żył Emil Maria jak polne lilie, na łasce Tego, co żywi ptaszęta polne, a ostrzyżone owieczki od wiatru ochrania. Zdawało mu się, przez tę wiarę jaką w posłannictwo geniuszu

swego pokładał, iż Opatrzność winna mu była nietylko chléb, ale wkońcu jakąś świetną niespodziankę, premium, które gdzieś zaczajone na drodze żywota nań czekało.

Wyobrażał sobie, że tą niespodzianką powinna była być miłość kobiéty pięknéj, wyegzaltowanéj, a przytém należącéj do śmietanki społecznéj, wyposażonéj tak, aby poeta mógł u jéj boku bez troski, swobodnie oddać się cały wyśpiéwaniu poematu swego ducha… wielkiéj pieśni nieśmiertelnéj.

Przyjścia tego Mesyasza niewieściego, który mu miał przynieść wyzwolenie, szczęście, oczekiwał Emil Maria oddawna. Szukał go we wszystkich paniach, do których się zbliżał, i znaleźć nie mógł. Żadna mu się oczarować nie dała, ani płótnem, ani papierém, obrazem czy poematem. Zkolei poznawszy panią Lizę, grzeczną, bojaźliwą, chwilami egzaltowaną, choć niełatwo rozwiązującą usta i otwiérającą serce, poeta powiedział sobie: „To ona być musi! ”

Miała wszystkie warunki marzonéj niewiasty-ideału, licząc w to i złocone ramy, w których każdy obraz lepiéj się wydaje. Brakło tylko, ażeby raczyła spojrzéć na niego łaskawie. W początkach nawet widywała go z zajęciem, okazywała mu współczucie; lecz gdy się domyślać zaczęła, posądzać go oto co roił, przestraszona cofnęła się, otoczyła lodem i starała unikać spotkania z poetą. Zawsze dla niego grzeczna bardzo, wyraziście dawała mu poznać, że znajomość ich pewnych granic nie przejdzie.

Emilowi zdawało się, że to ostygnięcie było naturalnym

skutkiem obawy, jaką budził w niéj potęgą swoją, urokiem geniuszu; tłumaczył to sobie oznaką walki w jéj duszy. Któż się bez walki poddaje? Nie przestawał więc, ilekroć spotkał panią Lizę, grać dla niéj na wszystkich złotych strunach swojéj lutni.

Nie spodziéwał się, że ten wieczór miał go pochwycić, unieść w stronę inną i uwolnić ideał od oblężenia.

Przechodząc do małego salonu, w którym miano zasiąść do herbaty, ostrożna p. Liza upatrywała już zawczasu takie miejsce, aby poety nie miéć ani obok, ani naprzeciw siebie.

Do charakterystyki pięknéj wdowy należała słabość jedna: miała do przesady posunięte upodobanie nie w elegancyi, ale w czystości, a geniusz bywał często zaniedbany, tak iż na ręce jego spojrzéć było niebezpiecznie. Należało to do cech jego powołania. Pani Liza, zmuszona patrzyć na zabrukanego, często nic w usta wziąć nie mogła.

Księżna, dla któréj ona tajemnic nie miała, postarała się o to, aby odgadniętym życzeniom zadość się stało. Poeta, który się do stołu opóźnił, przytrzymany trochę rozmową z Wiktorem, znalazł dla siebie wskazane krzesło przy gospodyni domu. Pani Liza siedziała w jednym z nią rzędzie, została więc ukrytą i bezpieczną.

W piérwszej chwili ogólniejsza rozmowa zawiązać się nie mogła; szeptano tylko z sobą zblizka. Emil Maria zamyślił się głęboko, naprzód nad tém jak ma odżywić to uczucie, o którego kiełkowaniu w sercu pani Lizy jeszcze nie zwątpił, powtóre jak się miał przedstawić nieznanemu, aby go podbić i uczynić

czcicielem; szło mu o Wiktora, aby został olśniony, aby uwierzył weń i upokorzył się przed majestatem geniuszu.

Dwa te wymagania chwili dawały się z sobą pogodzić; szło tylko o to, ażeby zagrać preludyum stosowne, któreby wielkiéj symfonii mistrza ton dało.

Zasępiony, milczący, z głową spuszczoną nad filiżanką, siedział długo wgłębiony w siebie poeta.

Tymczasem hrabia Filip, zamiast żądanego preludyum, zaczynał pryskać ironicznie frazesami, wedle swego zwyczaju.

Swobodna dosyć wymiana myśli, która przed przyjściem Emila zapowiadała wieczór ożywiony, sparaliżowaną się zdawała zjawieniem się poety.

Z nim, jak z chorym, potrzeba się było miéć na ostrożności i wielu przedmiotów, nieszkodliwych dla zdrowych, nie tykać. Nie cierpiał najmniejszego sprzeciwiania się sobie; głosił wyroki i słuchać go musiano. Rozprawiać z nim nie było podobna.

Księżna widziała już swój wieczór zepsutym bez ratunku, a pamiętała że Emil Marya zwykle siadywał długo i wychodził ostatni.

Z westchnieniem pochyliła się księżna do sąsiadki swéj i szepnęła jéj:

– Zawiedzione nadzieje!

Skąpa w słowa, piękna Liza podniosła oczy i wyrazem twarzy odpowiedziała: „Niestety!”

Hrabia Filip, korzystając z bardzo szczęśliwego dla siebie

składu okoliczności, miał właśnie wystąpić na arenę z dowcipem, w który grał doskonale, jak młode panienki w wolanta – gdy z sąsiedniéj sali dał się słyszéć szelest sukni kobiécéj. Księżna podniosła głowę, trochę zdziwiona. Kamerdyner prowadził gościa nowego, wchodzącego bez ceremonii, żywo, napastliwie, jak ci, co wiedzą że pożądanymi i wdzięcznie przyjętymi być muszą wszędzie.

Z ruchów téj pani, nim światło na twarz jéj padło, wnieśćby było można, iż była chyba wcale młodą, bo skakała, nie szła, poruszała rękami, a cała jéj niewielka figurka drżała konwulsyjnie. Strój téż zapowiadał młodość zdaleka, barw był jasnych i sprzeczających się z sobą, zbyt poobwieszany ozdóbkami i gałgankami.

Gdy cała postać wyszła z mroków, pokazała się jeśli nie starą, to przynajmniéj rozbrataną nawet z resztkami drugiéj młodości jesiennéj. Twarz, która nigdy pono piękną nie była, ale przed laty dwudziestą mogła być powabna świéżością i żywością wyrazu, składała się z regularnego koła, na którem, pod nizkiém czołem, małe ciemne oczki przymrużone siedziały. Wśrodku był nosek kartofelkowaty, dawniéj przyjemnie zadarty, a pod nim dosyć szérokie, z grubemi wargami usta. Razem było to niezmiernie ruchawe, zmieniające się, bo i brwi tańcowały, i policzki się cochwila to wydymały, to wpadały i usta zaciskały się lub rozszérzały do zbytku – wszystko zaś stanowiło maseczkę komiczną, któréj nie zbywało na ogniu i sprycie.

Znać było, że ta pani wiele żyła i próżnować nie lubiła.

Była to dziś dukessa di Valle Nero, z domu Zosińska, primo voto baronowa von Haeven, secundo hrabina de Pierrefide, naostatek małżonka duka, Włocha, który rzadko bardzo ukazywał się na jéj horyzoncie. Istniał jednak niewątpliwie.

Z poprzednich małżeństw pozostała jéj córka, oddawna za mąż wydana za Niemca, i… bardzo zręcznie ocalony z katastrof wielu dosyć znaczny majątek.

Dowcip, żywość, wesołość, napastliwość i posag przywabiły do niéj ubogiego, średnich lat duka, który nie miał nic, oprócz zameczku w Valle-Nero w Lombardyi i dwóch gospodarstw chłopom oddanych na *metę*.

Rok podobno małżeństwo żyło z sobą razem i zgodnie; potém książę, lubiący polowanie i swój kąt, został w zameczku, dostawszy jakieś subsydyum, a pani rozpoczęła nanowo wieczną swą włóczęgę po świecie, bo nigdy długo na jedném miejscu usiedzieć nie mogła. Sama ona zwała się żartobliwie Ahaswerą, a inni jéj także to imię dawali.

Czasem wciągu jednego roku widzieć ją było można w Paryżu, Ostendzie, Nizzy, Monte Carlo, Florencyi, Rzymie, Lwowie i Odessie. Znane jéj były Konstantynopol i Jerozolima, raz znajdowała się na balu u khedywa.

Napół, albo raczéj najzupełniéj kosmopolitka, rozmaitemi stosunkami związana ze wszystkiemi narodowościami całéj Europy, księżna miała jednak słabość do swoich współziomków dawnych i szukała najchętniéj ich towarzystwa. Wzdychała, mówiąc, że bez swoich długoby wyżyć nie potrafiła.

Ahaswera – gdy tém imieniem oryginalném pozwalała się zwać i pod niém najlepiéj była znaną – żyła, jak motyle, niewiedziéć czém. Nie miała napozór żadnéj panującéj namiętności, ale zkolei poślubiała wszystkie, aby nie pozostać bezczynną. W wyborze wcale nie była trudną.

Zbliżało ją to do księżnéj Teresy, która również szukała zajęcia, potrzebowała nowości; lecz ta była między niemi wielka różnica, że księżna znajdowała przyjemność w szlachetnych tylko rozrywkach, w czémś mówiącém do duszy, podnoszącém, gdy Ahaswera zabawiała się równie dobrze w Monte Carlo, wśród najgorszego towarzystwa, jak w najlepszém. Mówiono sobie bardzo pocichu, że dawniéj miéwała fantazye nader kompromitujące, niewiele dbając o to, co o niéj ludzie powiedzą.

Postępowanie jéj jednak, bardzo swobodne, nie przeszło pewnych granic i nie było tak cyniczném, aby jéj wstęp do lepszego towarzystwa zamykało. Choć wiele jéj zarzucano, o wielu awanturkach opowiadano, ona przynajmniéj swych wybryków i kaprysów nie głosiła jawnie, nie chlubiła się niemi. Była przytém dobroczynną bardzo i litościwą dla drugich.

Księżna Teresa przyznawała, że Ahaswera bawiła ją; pani Liza unikała jéj trochę i chłodem grzecznym dawała poznać, iż spoufalać się zbytnio nie była rada.

Oprócz Wiktora, znali ją tu wszyscy i spotykali się z nią często. Lubiła zapraszać na obiady, których dysponować nie umiała, choć jeść dobrze potrzebowała.

Emil Maria, którego naprzemiany drażniła żartami, a potém

karmiła przesadnemi uwielbieniami, którego chętnie nabywała obrazy, słuchała improwizacyi, miał ją za ekscentryczną, ale niepospolitą kobiétę. Gdyby była młodszą, lub gdyby choć okazała mu, iż chce w nim miéć czciciela! Właśnie ten wieczór miał go wydobyć z niepewności i wahania, w którém oddawna więdniał.

Poznawszy Ahaswerę, księżna coprędzéj wstała i wyszła naprzeciw niéj.

– Przepraaa-szam! *Pardon!* Wpadam tu nieproszona, natrętna – zawołała, kręcąc się, szeleszcząc suknią, mała księżna. – Ale przez litość, proszę mnie nie wypędzać! Stęskniona jestem za polską mową, za twarzami polskiemi, za ludźmi naszymi – po parafiańsku wyrażając się: za ziomkami i rodakami. Nie wierzycie państwo?… cały tydzień spędziłam pomiędzy Anglikami, Szwedami, Włochami i Francuzami – a! w całéj menażeryi kosmpolitycznéj, bo był tam Bulgar i Turek nawet… Uwierzycie państwo, czy nie? pełno było ludzi rozumnych, rozumniejszych niż my zwykle bywamy, miłych, uczonych, dowcipnych, przyzwoitych – a mimo to czegoś, czegoś mi swojego brakło!… Niepojęta rzecz! Chciałabym znaléźć chemika, któryby mi powiedział, jaki to jest piérwiastek nam właściwy, a którego wszystkim innym narodom braknie? Ja nie wiem, ale coś my mamy w sobie, czego nie mają drudzy. Czyśmy więcéj dziećmi? czy....

Rozśmiała się. Zrobiono jéj miejsce. Obejrzała się dokoła, jeszcze bardziéj oczki przymrużając, a witając po włosku rękami

i głową.

– Widzę tu areopag cały – dodała. – Niechże panowie i panie wyrokują. Zadanie godne najwytrawniejszych umysłów.

Wszyscy milczeli, spoglądając po sobie.

Najśmielszy, hrabia Filip, wyrwał się piérwszy.

– Ale księżna, zadając pytanie, samaś je najlepiéj rozwiązała. Tak mi się zdaje. Ja się piszę na hypotezę. Wistocie, my jesteśmy wiekuiście potrosze dziećmi, to stanowi urok nasz i słabość naszę.

Na poecie, który twarz miał zwróconą ku wdzięczącéj się, a tém mniéj teraz pięknéj Ahaswerze, widać było, iż mocno pragnął wystąpić z czémś olśniewającém szczytnością, oryginalnością, potęgą. Czoło mu się sfałdowało, jak fale morskie gdy skarb wyrzucić mają na brzegi, usta ścięły.

– Dziećmi? – zawołał. – Hrabia nam z tego czynisz wyrzut, co w moich oczach jest największą chwałą naszą! Tak, księżna wyrzekłaś żartem prawdę wielką: jesteśmy dziećmi w rozumieniu tém, jakie maluczkim nadały słowa Chrystusa, który je kazał przypuszczać do siebie. Dziećmi… o tak! bo nawet w grzéchach naiwni jesteśmy – dziećmi, bo nami rządzi uczucie, a to uczucie, siebie niewiadome, płynie nie z maleńkiego źródła w piersi naszéj, ale z wielkiego zdroju, co żywi wiekuistego ducha ludzkości. Dziećmi jesteśmy… ach! i pozostańmy niemi!

– Trochę przytém rozumu i dojrzałości dzieciom tym jednakby nie zawadziło! – przebąknął Wiktor.

Ahaswera spojrzała na niego z ciekawością niezmierną

i zwróciła się z szeptem do sąsiadki. Łatwo się w nim było domyślić pytania: – Któż to jest?

Hrabia August siedział, słuchając pilnie.

– A hrabia co na to? – zapytała go księżna Teresa.

– Nie mówię nic, bo właśnie nad problematem rzuconym rozmyślam – odparł hrabia powolnie. – Myślę nad tém, czy to znamię rodzime, co nas od innych odróżnia narodów, jest tak wybitne, aby je można pochwycić i określić? Myślę czy to cecha wspólna wszystkim narodom słowiańskim, czy własna nasza, i czy następstwem tego czegóś, co nas wyszczególnia, nie było, że nas wyparto z Rugii, z Pomorza, z Łużyc, ze znacznéj części Czech, z połowy Europy może; wszędzie, gdzie my walczyliśmy z Germanami, oni nas złamali, wypchnęli, podkopali, wydziedziczyli.... Wstępnym bojem zwyciężaliśmy ich niejednokrotnie; lecz ile razy walka się przeciągnęła, padaliśmy. My wyciągniętéj ręki nie odepchnęliśmy nigdy, we wszelkiego sojuszu wierzyliśmy świętość, a wreszcie łacniéj nam było zawsze w nieprzyjacielu domyślać się cnoty, niż podejrzywać go o zdradę.

– Mój hrabio – krzykliwym głosikiem przerwała Ahaswera – alboż to nie są cechy naiwnego dzieciństwa?

– Nazwanie jest niezupełnie ścisłe – rzekł hrabia. – Tak samo moglibyśmy się nazwać aniołami. Nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi, jesteśmy… – Tu chwilę pomilczał. – Któż wié? jesteśmy może ludźmi przyszłości – dodał. – Tak! gdy siła pięści, która dziś króluje światu, zostanie ostatecznie siłą ducha

złamaną, gdy zwierzęca walka o byt, tocząca się lat tysiące, tryumfem ducha będzie rozstrzygniętą – naówczas my téż zwycięzko wystąpimy na scenę świata, jako naród posłany dla stworzenia społeczeństwa nowego, wedle słowa Chrystusowego.

Hrabia Filip, któremu oczy coraz bardziéj lśniły się, błyskały, żarzyły, ledwie już mogąc się powstrzymać, wybuchnął:

– Jeżeli z nas naówczas choć jeden pozostanie! Siła pięści nie jest przemijającą, jest wiekuistą, a że my negujemy jéj prawa, więc wydusi nas do ostatniego. Reprezentanci téj siły, maskujący się jako cywilizatorowie, w imię téj bogini cywilizacyi wygniotą aniołów czy dzieci, którym wyrzucają zacofanie i barbarzyństwo.

– Gdyby przy stole herbacianym można formalną rozpocząć dysputę – odezwał się hrabia August – zacząłbym ją od zaprzeczenia temu, coś powiedział, że siła pięści jest wiekuista. Jest odwieczna, ale nie będzie nieśmiertelną. Cała historya ludzkości świadczy, że znaczenie siły téj nie rośnie, lecz się zmniejsza. Czuje to siła pieści i rozpaczliwie się broni; ale porównajcie czém ona była w piérwszych epokach bytu ludzkiego, a czém jest dzisiaj. Człowiek rozpoczynał zawód swój ludzki, potrzebując zwalczać potęgi fizyczne otaczającéj go natury pierwotnéj. Naówczas pięść była jego zbawieniem; dziś coraz bardziéj potrzebuje ona głowy, a wkońcu stanie się jéj sługą. Z téj epoki walk fizycznych pozostały nam w obyczajach, w pojęciach, w teoryach społecznych i państwowych mnogie skorupy i skorie, ale wszystko to powoli opadnie i zostanie zgruchotane.

Hrabia August mówił powolnie, nie deklamując, nie patrząc na słuchaczów, bawiąc się odniechcenia deserowym nożem, który trzymał w ręku.

Zakończył ciszéj. Głos mu zamarł.

Poeta zdawał się nietyle go słuchać, ile zazdrościć mu uczynionego wrażenia, gdyż oczy wszystkich w mówcę były wlepione i nikt nie zdawał się mu śmiéć zaprzeczyć.

– Co do mnie – rzekł hr. Filip – ja jestem tak nieszczęśliwy, że zapewne skutkiem niedołęztwa mego i ślepoty, nie widzę w dziejach ludzkich tego postępu, o którym mowa. Historya jest dosyć ładną plecionką, w któréj naprzemiany występują ciągle też same kolory: czarny, biały, siny, czerwony. Gdy jeden się wyczerpie, drugi powraca. Rzeczywistego postępu dopatrzéć mi się niepodobna. Mieniają się prądy, ale się nie różnią. Stare baśni po ostatnim akcie rozpoczynają się nanowo z tąż samą muzyką. Asystujemy może setnéj któréjś reprezentacyi jednego wiekuistego dramatu. Ludzkość idzie do muru, uderza weń głową i, odskoczywszy, pędzi w drugą stronę, aby o przeciwną ścianę nabić sobie nowego guza.

Ahaswera uderzyła w małe, ale brzydkie rączki, z krótkiemi nabrzękłemi palcami, i zkolei zdawała się radować nowemu zdaniu, jak się cieszyła z piérwszego.

– *Ah! que c'est cela*! Co za prawda! – zawołała.

– Może być – przerwał Wiktor, dotąd milczący – że się to tak wydaje komuś zdaleka patrzącemu na historyą, widzącemu tylko płaszcz jéj i cień; ale w głębinie dziejów jest więcéj cóś

nad mechaniczny ruch wahadłowy. Ta formuła pochodu, jako formuła, niezupełnie jest fałszywą, ale ona nic nie tłumaczy. Jest to prawda namacana pociemku. Zamiast dwóch ścian, o których hrabia mówisz, trzebaby sobie wystawić wieżę wybiegłą wysoko, a w niéj biédnego ptaka, który, lecąc kugórze, bije się wprawdzie o ściany, lecz ciągle ku światłu podnosi!

Hrabia Filip, ironicznie uśmiéchając się, ruszył ramionami.

– To cóś straszliwie skomplikowanego! – dodał z pewném lekceważeniem. – Prawo pochodu, jeżeli istnieje, musi być daleko prostsze.

Poeta, słuchając, marszczył się coraz bardziéj. Zbiérało mu się na improwizacyą. Nareszcie wybuchnął. Przybrał postawę natchnionego, podniósł głowę, włosy na tył jéj odrzucił, zadrgały mu ręce, oczy zabłysły.

– Ateizm postępu.... zbrodnia! – zawołał. – Więc człowiek byłby wibryonem, kręcącym się w brudnéj wieków cieczy bez celu? a ludzkość jakąś rdzą, porosłą na staréj ziemskiéj skorupie? Puść wzrok swój w głąb minionych wieków, których kości masz pod stopami. Czy od kamiennéj siekiéry do sprężyny twojego zégarka nie widzisz postępu? Toś ślepy… zasłaniasz oczy! Od Kafrów i Indyan do Anglika niéma różnicy i wzrostu? Od prawa żelaza do Wielkiéj karty niéma zdobyczy? Idziemy, choćby cotysiąc lat pół kroku, a pochodu minuty liczą się pokoleniami. Idziemy, a kto nie czuje tego, ten duszy nie ma i jest ludzkości odpadkiem!

Hrabia Filip usta wydął i zarumienił się.

– Dziękuję! – rzekł, kłaniając się.

Ahaswera i inni uśmiéchali się znowu.

– Przepraszam! – przebąknął poeta. – Bronię najdroższego skarbu, wiary w to, że człowiek zdał się na cóś i cóś znaczy.

Urażony hr. Filip rozparł się w krześle, ręce powkładał w kieszenie i milczeniem swém znać dawał, że dalszego sporu prowadzić nie myśli.

Poeta był własném wystąpieniem poruszony mocno.

– Mnie się zdaje – szepnęła księżna Teresa, chcąc wystąpić pojednawczo – żeśmy bardzo odbiegli od piérwszego założenia. Księżna przyniosła nam wcale inne zagadnienie do rozwiązania.

– Moglibyśmy – odezwał się hrabia August – wpaść z niego łatwo na niemniéj drażliwą kwestyą narodowości. Miłość własna czyni ją niebezpieczną.

– Dajmy lepiéj pokój téj kwestyi – odezwał się Wiktor. – Mówią powszechnie, iż wiek nasz cechuje się uznaniem równouprawnienia narodowości, zrozumieniem ich posłannictwa. Tymczasem i fakta, i głosy z trybuny parlamentu nad Sprewą i cała literatura niemiecka, nie mówiąc już o innych, świadczy iż niektóre uprzywilejowane narodowości, sobie samym przyznając misyą społeczną i cywilizacyjną, resztę mają za barbarzyńców, skazanych na wytępienie.

– Mógłbym ja, na poparcie mojéj teoryi repetycyi jednego dramatu *ad infinitum* – dodał kwaśno Filip – przypomnieć, że zupełnie tak samo Rzym, w imię cywilizacyi, chciał występować sam jeden. Nic się nie zmieniło, tylko Celsius rzymski zowie się

dziś nie wiem jakim tam National-liberałem niemieckim.

– Jest wielka różnica – odparł Wiktor – bo dziś przeciwko takiemu Celsiusowi germańskiemu nie jeden Origenes wystąpi, ale głów tysiące.

– Które zagłuszą działa Kruppa.

– A potém? – zapytał Wiktor.

Wśród wszczynającego się nanowo sporu, który mógł się nazbyt długo dla milczących pań przeciągnąć, zmęczona już nim Ahaswera uderzyła nożem w filiżankę.

– *Grace! grace!* panowie – zawołała. – Prawda że ja jestem najwinniejszą, bom przyniosła niezgody nasienie. Lecz… *basta!* Przynoszę téż z sobą cały worek wyśmienitych plotek. Miałam listy z różnych stron świata.

– Wolnoż spytać – wtrącił Filip – w którą z tych stron księżna się wybiéra? bo nie wątpię iż wybiérać się musi.

– Hrabia mnie chcesz wypędzić? Bardzom ci się naprzykrzyła? – wesoło spytała Ahaswera.

– A! uchowaj Boże! Księżna życie nam przynosisz – zawołał Filip. – Jesteś tym proszkiem musującym, który wsypany do naszéj wody....

Wszyscy, nie wyjmując i téj do któréj dziwny ten kompliment się stosował, mocno się śmiać zaczęli, a hr. Filip dodał:

– Wiem że księżna długo w jednéj atmosferze wytrwać nie może; chcę przeto wiedzieć w którą stronę mam posyłać westchnienia.

Nie urażając się, Ahaswera pogroziła mu tylko, pokręciła

główką i wesoło odrzekła:

– Szczęście to twoje, hrabio, żeś tego nie powiedział przed.... kilką laty. Dziś trochę mi trudno byłoby cię zbałamucić, nie mam już ochoty ani energii. Inaczéj odpokutowałbyś u mych kolan, prosząc o przebaczenie! Goniłbyś za mną, gdziebym chciała.

– Nie przeczę. Jeszcze dziś groźba przejmuje mnie strachem – odparł Filip. – Jestem najmocniéj przekonany o wszechmocności córek Ewy.

– Otóż, bez żartów – ciągnęła księżna daléj – wistocie myślę o ucieczce z Rzymu, bo skwar jest nie do zniesienia i powietrze nie do oddychania. Przybyłam tu dla jakiegoś interesu mojego pana męża. Nie mogę się doczekać ani męża, ani interesu, więc posiedzę jeszcze trochę, a potém ruszę w świat.

– Dokądże? jeśli wolno – spytała gospodyni.

– A! nie wiem, nie wiem! Ostenda mnie już nudzi: elegancya bez oryginalności. Ludzie nadzwyczaj pospolici i zawsze ciż sami. Mam ochotę zobaczyć Biarritz. Może ztamtąd zrobię małą wycieczkę do Hiszpanii. Nie znam Grenady, nie widziałam Alhambry. Nie wiem… a państwo co robicie?

Księżna Teresa poruszyła ramionami.

– Mamy w téj chwili tak miłe towarzystwo w Rzymie – rzekła – że się nie chce go opuszczać.

– Czy ta odpowiedź jest wyrazem zbiorowego, zgodnego przekonania? – spytała ruchawo Ahaswera, spoglądając dokoła po obecnych.

Wszyscy zdawali się to potwierdzać, bo milczeli. Po

chwilce tylko, lekko zarumieniwszy się, pani Liza niespodzianie odezwała się, iż lęka się, aby nie była zmuszoną zbliżyć się do kraju.

Musiało to być dla wszystkich niemiłą nowiną, bo wyraz twarzy świadczył o zdziwieniu i czoła się zachmurzyły.

– A ja mam nadzieję – rzekła księżna Teresa – że cię uprosimy i przytrzymamy.

Milczący pan Ferdynand, który słuchał rozmowy z roztargnieniem, nie mieszając się do niéj, narówni z innymi zdawał się zdziwiony tém, z czém się siostra jego odezwała. Spojrzał na nią.

Sama pani Liza myśli téj, z którą się tak nagle oświadczyła, nie miała wcale. Złożyło się na nią pobudek wiele: trochę niepokój, jaki wzbudzały w pięknéj wdowie napastliwe i przykre zaloty hrabiego Filipa, nudne wejrzenia strzeliste Emila Maryi, naostatek może i jawna, choć milcząca, rozpaczliwa jakaś, odwieczna miłość hr. Augusta, za którą tylko szacunkiem odpłacić mogła.

Nieszczęśliwa kobiéta miała taki wstręt do małżeństwa, taką potrzebę swobody i spokoju, po straszném, męczeńskiém z mężem pożyciu – serce jéj było jeszcze tak zbolałe, że sama możliwość jakiegokolwiek związku przerażała ją.

Miała największy szacunek, gorącą przyjaźń braterską, największe zaufanie w hr. Auguście; ale nie była to miłość. Chciała mu oszczędzić próżnych marzeń i złudzeń.

Naostatek… w głębi jéj serca znękanego, tam gdzie własne

jéj oko z obawą spoglądało, rodziło się z piérwszego przestrachu i trwogi, jakich doznawała na widok Wiktora – jakieś uczucie dziwne, gwałtowne, budzące większą jeszcze obawę. Wiktor ten, którego się tak ulękła przy piérwszém spotkaniu, nie schodził jéj z myśli. Oczy jéj i dziś mimowolnie zwracały się na niego. Czuła, że jakąś siłą fascynacyjną ciągnął ją ku sobie. Wolała uciec, niż poddać się i uznać zwyciężoną.

Przeszłe życie nauczyło ją wiele. Czytała w sobie budzącą się jakąś namiętność niezrozumiałą, któréj uledz nie mogła, nie chciała.

Człowiek mógł być niegodzien jéj serca; zresztą miała dotąd niewzruszone postanowienie złamanego życia nie rozpoczynać nanowo. Oświadczyła to głośno… miałażby sama kłam zadać sobie?

Przerażało ją to, że tego wieczora, ile razy mimo swéj woli, ukradkiem zwracała oczy na Wiktora, spotykała ciągle zatopione w sobie jego wejrzenie, dreszczem ją przejmujące. Uczucie swe porównywała w duchu do wrażenia, jakiego nerwowi ludzie doświadczają na wyżynach. Zawraca się im głowa – chcą paść.... *abyssus vocat*! Temu ciągnięciu do przepaści, które ją niepokoiło, zdawało się jéj że oprzéć się miała siłę.

Szybkość, z jaką w przeciągu niewielu dni, a szczególniéj od ostatnich dwudziestu cztérech godzin, rozwijało się w niéj to uczucie, w którego możliwość niedawno jeszczeby była nie wierzyła – powiększyła trwogę. Uciekać, uciekać! mówiła w duchu. – Jeszcze dni kilka, a kto wié czy będę panią siebie!

Posuwając tę obawę do najwyższego stopnia, pani Liza zaczęła się wkrótce uskarżać na ból głowy i, parę razy spotkawszy się jeszcze z tym wzrokiem, który miał nad nią taką siłę, pożegnała księżnę, szybko wysuwając się z pałacu. Brat podał jéj rękę i przeprowadzał na Via Sistina.

Zaledwie wyszli na ulicę, Ferdynando pośpieszył z zapytaniem, które mu paliło usta.

– Moja droga Lizo! Cóż to się stało? Nie wspominałaś mi dotąd wcale o zamiarze opuszczenia Rzymu.

– A! – słabym głosem odparła siostra – bom wcale zamiaru tego nie miała. Lecz, koniec końcem, coraz się czuję słabszą, powietrze mi tu nie służy. Duszno mi, słabo, słabo… głowa cięży! Nie jest-to pora do pobytu w wieczném mieście. Muszę gdzieś wyjechać… odetchnąć.

– I to postanowienie zrobiłaś teraz dopiéro? – spytał brat, który niebardzo chciał Rzym opuścić, a miał do tego powody, z których spowiadać się nie mógł.

Wdowa szła szybkim krokiem, oparta na ręku brata, nie odpowiadając na jego pytanie.

Po chwili Ferdynand powtórzył:

– Więc to już niezmienne?

– Proszę cię, nie badaj mnie dziś tak natarczywie – odpowiedziała. – Jestem zmęczona, znudzona; nie wiem sama, co mi jest. Ahaswera ma talent niecierpliwienia mnie.

– Ale ona wkrótce wyjeżdża, jak mówiła sama – dodał brat.

– Ona… Ona nigdy nie wié czego chce i co jutro pocznie –

niecierpliwie rzekła Liza. – Jutro przyjdzie jéj fantazya nowa. Zrobi jaką znajomość, do któréj przyznać się będzie trudno, wplącze się w jakąś intrygę..

– Za jednę tę nieznośną księżnę płaci druga – odparł Ferdynand. – Milszéj nad nią znaléźć trudno, lepszego serca, sympatyczniejszego charakteru…

– Szkoda że nie młodsza – uśmiéchnęła się siostra – gotówbyś się w niéj zakochać.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.